

Nasz dzień powszedni Nadzieje i szanse Nasze świętowanie

Rozmowa z prof. dr. hab. Zbigniewem Zaborowskim, psychologiem społecznym

— Jak żyć? Dla jednego to pytanie najprostsze, jak przeżyć do pierwszego. Dla innych — pytanie o sposób osiągnięcia sukcesu, dla jeszcze innych — nieustanne poszukiwanie sensu istnienia wśród ludzi i dla ludzi. Gdzie szukać drogowskazu, by odpowiedzieć na te pytania — pomaga nam znaleźć właściwa droga?

— Każdy z nas ma do czynienia z różnymi sytuacjami, które w mniejszym lub większym stopniu rozstrzygają o kierunku naszego życia. Na pewno jest tu potrzebna pewna umiejętność przewidywania, spojrzenia z szerszej perspektywy. Prof. Kotarbiński mówił, że człowiek, który realizuje swoje myśli — za punkt wyjścia powinien brać w działaniach swoją aktualną sytuację, konkretne warunki, w jakich się znajduje. A więc po pierwsze: nie bójmy się prawdy, nie odwracajmy od niej oczu. Starajmy się uniknąć kierowania wyłącznie tradycyjnymi rozwiązaniami (dawniej to skutkowało — teraz też powinno być dobre), emocjami, urażoną ambicją, gniewem. I nie bójmy się ryzyka. „Jeśli wiesz, gdzie jesteś i gdzie chcesz być, nie powinno powstrzymać cię od twej podróży — ani obawa, ani wątpliwości, ani śmiech. Każdy start we właściwym kierunku, choćby najskromniejszy, przynosi cię do celu” — mówi angielski specjalista od teorii organizacji, L.J. Peter.

mieniem swych braków — prowadzą nie rzadko do kurzowego trzymania się działań często skazywanych na niepowodzenie.

— Skutek? — Właśnie rozczarowania, frustracje, zamykania...

— „Zaden człowiek nie jest samodzielną wyspą”. Poszukiwanie samego siebie musi prowadzić do spotkania z innymi ludźmi. Co zrobić, aby to spotkanie nie było mijaniem się?

— Osobowość każdego z nas w dużym stopniu jest produktem wpływów otoczenia społecznego. Żyjemy wśród ludzi i oni mogą ułatwić nam „pracę” nad sobą. Akceptując i poznając innych poznajemy i bogacimy siebie. Określamy się. Za fasadą obojętności, a nawet nieżyczliwości mogą istnieć głębokie pokłady przyjaźni dla ludzi, które wymagają tylko odkrycia i uświadomienia. Wszelkie układy, stosunki społeczne, w których funkcjonujemy, silnie oddziałują na nasze przeżycia, postawy, cele. To nie oznacza jednak załamania się własnej osobowości i tożsamości. Człowiek będąc produktem oddziaływania innych na siebie dysponuje jednak znaczną autonomią i możliwością wyboru.

— Tyle norm społecznych, moralnych i ukształtowanych wartości załamało

Andrzej Masłowski profesorem PB

Jak już informowaliśmy, podczas uroczystości w Belwedrze tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymał Andrzej MASŁOWSKI z Politechniki Białostockiej. Poniżej prezentujemy jego sylwetkę.

Prof. Andrzej Masłowski (urodzony 1942) jest absolwentem Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej. W 1976 r., jako dr inż. rozpoczął pracę w Politechnice Białostockiej, początkowo w Instytucie Matematyki, Fizyki i Chemii, a następnie w Instytucie Mechaniki. Od 1980 r. kieruje Zakładem Termodynamiki i Automatyki.

Zakład zajmuje się tematyką badań związanych z dynamiką układów fizycznych w zastosowaniu do różnych dziedzin nauki i techniki. W zakresie tej problematyki mieszczą się takie zagadnienia jak: modelowanie matematyczne oraz symulacja i identyfikacja komputerowa. Znajdują one zastosowanie w analizie procesów cieplnoprzepływowych (wykorzystywanych jako magazyny energii cieplnej np. w budownictwie energooszczędnym) oraz w analizie dynamiki układów automatyzacji i robotyzacji. Ta ostatnia dziedzina wiąże się z kołami z identyfikacją stanu otoczenia robotów, wykorzystywanych m.in. w pracach podziemnych i akcjach przeciwpowodziowych.

Prof. Andrzej Masłowski ma znaczący dorobek naukowy. Jest autorem monografii i ok. 100 prac, poświęconych identyfikacji dynamiki układów technicznych. Reprezentuje Politechnikę Białostocką oraz nasz kraj w licznych towarzystwach międzynarodowych. Jest np. członkiem amerykańskiego stowarzyszenia (IMACS), skupiającego naukowców zajmujących się zastosowaniem matematyki do symulacji komputerowej, a także europejskiego stowarzyszenia symulacji komputerowej — ESC. Był on również jednym z inicjatorów powołania podobnego stowarzyszenia państw wspólnoty socjalistycznej, jest obecnie w trakcie tworzenia.

Prowadzony przez prof. A. Masłowskiego zespół od kilku lat współpracuje z Instytutami Politechnicznymi w Kijowie i Mińsku.

Podjęta w Zakładzie problematyka nie pozostaje bez wpływu na proces kształcenia studentów, przy czym większym wykorzystaniu indywidualnych możliwości studentów. Wynikiem tego jest m.in. uruchomienie od października studiów indywidualnych na kierunku mechaniki. Dotyczy one komputerowego wspomaganego analizy projektowania procesów technologicznych. (az)

W sobotę, 2. 01. 1988 r.

Urzędy nieczynne

Sobota, 2 stycznia jest dodatkowym dniem wolnym od pracy. Również w urzędach państwowych, które z reguły powinny być czynne we wszystkie soboty. Tym razem jednak premier wyraził zgodę, by ta sobota była wolna również dla części pracowników urzędów państwowych, którzy tego dnia — zgodnie z przyjętym w urzędzie rozkładem czasu pracy — powinni stawić się do pracy. Odrębną grupą jest ten dzień w inną sobotę stycznia. (PAP)

Rozmawiała: TERESA KWAŚNIEWSKA

Sejm w reformie

PRZEZ wiele miesięcy głośno było o reformie centrum. Z pojęciem tym kojarzy się na ogół zmniejszenie liczby ministerstw, ograniczenie uprawnień szefów resortów oraz zmiana stylu pracy rządu. A przecież nie mniej istotne przekształcenia dokonane również zostały w najważniejszym ośrodku centralnej władzy — w Sejmie.

Nasz parlament nie tylko nadaje reformom moc prawa, ale i dostosowuje do nich metody postępowania oraz wewnętrzne organizacje. Właściwie od początku dekady lat osiemdziesiątych obserwujemy wyraźne odwołanie się do kontroli Sejmiku. Nasilili się interwencje. Prawie w 150 przypadkach, licząc od początku kadencji, posłowie domagali się wyjaśnień od członków rządu. Systematycznie badane są przez komisje i zespoły poselskie różnorodne problemy państwa i działalności instytucji, a sam spo-

sób postępowania doczekał się poprawek wniesionych do regulaminu; wnoszące posłów będą teraz dokładnie planowane.

Jedną ze znaczących decyzji, mających oczywisty wpływ na stanowienie rządów demokratycznych i przejmowania

natomiast Sejmowi konstytucyjnym uprawnień było powołanie trzech komisji: Odpowiedzialności Konstytucyjnej, Spraw Samorządowych, Skarg i Wniosek. W miarę przekształcania układu kierowania państwem zmieniono organizację pracy wewnątrz Sejmu, przechodząc od starego, brzońskiego układu, właściwego dla gospodarki dyktacyjnej — do problemowej. Zmniejszono liczbę komisji, łącząc niektóre z nich. Stosownie do struktury reformowa-

nego centrum działa dziś jedna Komisja Przemysłu, w której też zgrupowano sprawy nauki, wychowania, oświaty. Takie postępowanie umożliwia sprawne uzyskiwanie informacji, będące przecież podstawą wszelkiego nadzoru — i egzekwowanie odpowiedzialności od przedstawicieli rządu.

Naturalnym uzupełnieniem tego procesu będzie powoła-

Z mocy praw...

należnych Sejmowi konstytucyjnym uprawnień było powołanie trzech komisji: Odpowiedzialności Konstytucyjnej, Spraw Samorządowych, Skarg i Wniosek. W miarę przekształcania układu kierowania państwem zmieniono organizację pracy wewnątrz Sejmu, przechodząc od starego, brzońskiego układu, właściwego dla gospodarki dyktacyjnej — do problemowej. Zmniejszono liczbę komisji, łącząc niektóre z nich. Stosownie do struktury reformowa-

nie Komisji Nadzwyczajnej ds. Reformy Gospodarczej. Parafrazując znane powiedzenie dotyczące prawa i prawników można by rzec, iż gospodarka jest sprawą zbyt poważną, by pozostawić ją samym tylko ekonomistom. Zresztą kwestie te wnieśli pod obrady Sejmu wyborcy, wskazując na spotkaniach z posłami, na niezbędność ponownego rozmyślenia, zagadania reform, przedłużenia okresu przejściowego — na wiele lat.

Aby przygotowany przez

rząd „program realizacyjny” wprowadzany był w życie z należytą sprawnością, niezbędne stało się przystosowanie aparatu sejmowej kontroli do sprawowania tej funkcji, a także do szybkiego — i poprawnego — przygotowania nowych ustaw. Sama reforma jest zresztą przedsięwzięciem tak skomplikowanym, że wymaga wyspecjalizowanych zespołów projektujących, wykonawczych, nadzorujących. Działalność Komisja ds. Reformy, pracując przy komitecie Rady Ministrów, zatem utworzenie sejmowej Komisji Nadzwyczajnej, zapowiedziane na styczeń 1988 r., należy uznać za czynność wypełniającą lukę w systemie.

Jeszcze jedno: powołanie Komisji Nadzwyczajnej ds. Reformy Gospodarczej oznacza dalsze wzmocnienie parlamentarnej kontroli nad rządem, ponieważ przez kilka najbliższych lat istota rządzenia i miara sprawności stanie się właśnie reformowanie gospodarki i państwa.

DOROTA WESOŁOWSKA

Kogo złapiemy w tę siatkę?

Co wiemy o reformie w gospodarce? Wiemy w każdym razie tyle, że płaca ma zależeć od pracy. Co wiemy o naszej gospodarce oświatowej w przededniu drugiego etapu reformy gospodarczej? No więc wiemy to, że nie będzie już tego resortu oświaty, który w latach 70. przygotował nam projekt reformy oświaty zapominając o braku szkół, nauczycieli i książek, nie będzie tego resortu oświaty, który w latach 80. już nawet z dystrybucją książek nie mógł sobie poradzić. Jest resort jeden dla szkół wszystkich. I tyle. A co z ekonomiką w gospodarce oświatowej podczas reformy w gospodarce narodowej?

Ekonomika jest tutaj nie mniej ważna niż w fabryce, budżet oświatowy nie przeszczeni, nie oddasz na złom, poprawiać je tylko możesz przez całe życie niedocuczonego ucznia. Więc jak będzie w szkole? Wszędzie dookoła płacić będziemy ludziom wedle tego jak pracują, zaś nauczycielom normalnie, wedle siatki płac? Takiej czy innej, ale wedle siatki płac? I kogo my chcemy do szkoły, do nauczania złapać w tę siatkę? Bo kogo łapiemy od dawna, to już dokładnie opisano — teraz siatka może okazać się zupełnie pustą. Bo jak długo w zawodzie nauczycielskim mają być wszyscy równi? Jak długo nauczyciel mający co roku uczniów w finałach olimpiad będzie trzymany w takich samych widełkach (płacywch) jak ten pedagog, który po prostu uczy kłesko, bo jest nauczycielem kłeskim, gdyż mało umie, albo mu się nie chce? Jak długo jednakowo będą zarabiali ci nauczyciele, którzy dzieci kochają i dlatego dobrze je wychowują, i ci, którzy np. lubią dzieci przysłać? To nie jest kolejny głos w sprawie podwyżek dla nauczycieli, bo te powoli jakos tam cieknie, nadal spychając pedagogów na dalsze pozycje materialne i społeczne — ale to inny temat. Pytanie brzmi: kiedy hasło „jaka praca taka płaca” obejmie także pedagogów? Czy

ktos już nad tym pracuje, a jeśli tak, to jak mu ta praca idzie?

Jest pewien problem w dziele placenia lepiej nauczycielom dobrym. Wiadomo: brak pieniędzy. Nie można ująć pieniędzy nauczycielowi ziemi i dać lepszemu. Nie ma z czego ująć. Zanim jednak przyjdzie, bo przyjdzie musi, do rozwiązań centralnych, państwowych, może być jakiś społeczny pomysł. Postawmy takie oto pytanie: czy jeżeli jakaś szkoła potrafi zarobić pieniądze, albo bardziej enigmatycznie: uzyć z dodatkowej gotówki, to będzie ona mogła wykorzystywać te fundusze np. dla zatrudnienia dobrego nauczyciela, nauczyciela, któremu zaproponuje wyższą płacę?

Co najgorsze: łatwiej zdaje się byłoby o pieniądze niż o furtkę prawną do takich działań. Pieniądze szkoła zawodowa może wypracować sama w działalności produkcyjnej, niezawodowa w jakiejś innej działalności usługowej. Pieniądze mogą także trafić do szkoły z dotacji jakiegos zakładu pracy, instytucji, może je uzyskać komitet rodzicielski w różny sposób: loteria fantowa, bal sylwestrowy, przedstawienie teatralne itp. Jest ogromnie dużo sposobów zdobycia pieniędzy w sposób na tyle godny, by nie uwalniać celowi, bo przecież przyswoić „pecunia non olet” nie może być tutaj stosowane. Z pewnością można zdobyć sporo pieniędzy na szkolne konto i mogłyby one trafić do nauczycielskich kieszeni.

Ala jak to przeprowadzić w zgodzie z prawem, z dobrem środowiska, ucznia i całej szkoły w ogóle? Oto jest pytanie. Może jest to pytanie do PRON? Bo nie byłoby wręcz niepropozycja taką inicjatywę Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dopiero na dalszym etapie może on przejść kontrolę i inne w tej mierze działania.

ANDRZEJ TUMALIS

...ten się w piekle poniewiera! A ten, kto daje, odbiera... i później, po wielu, wielu latach znów daje? — Zapewne w czyszc, tyle lat, ile zwielał z naprawieniem krzywdy, pomyłki, niesprawiedliwości.

Można jednak również powiedzieć, że lepiej późno niż wcale! Po prawie 24 latach od Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Innsbrucku niedawno srebrne medale otrzymali ponownie MARIKA KILIUS i HANS-JUERGEN BAUEMLER. Przez ponad 20 lat, w księgach wyników Igrzysk Olimpijskich brak było zdobywców srebrnych krążków w konkurencji łyżwiarstwa par sportowego. Podawano: 1) LUDMILA BIELOUSOVA i OLEG PROTOPOPOV (ZSRR), 2) — pustą miejscę z odczytaniem: „Para Kilius-Bauemler, która zajęła drugie miejsce, została dyskwalifikowana, gdyż, jak się okazało, jeszcze przed Igrzyskami 1964 podpisała kontrakt z zawodową rewią lodową”.

Effektowna blondynka, Marika Kilius, startowała już na Olimpiadzie 1956 w Cortina d'Ampezzo, zajmując — z pierwszym partnerem, Franzem Ninglem — czwarte miejsce z minimalnie gorszą notą (o zaledwie 0,05 pkt.) od węgierskiego rodzeństwa Nagy. Marika jednak wkrótce przerosła kolegę — dosłownie: o pół głowy. Partner nie może być niższy, to dekomponuje ogólne wrażenie u sędziów i publiczności! Toteż na Igrzyskach 1960 w Squaw Valley panna Kilius pojechała w parze z przystojnym Bauemlerem.

Tylko Kanadyjczyk Barbara Wagner i Robert Paul okazali się na Olimpiadzie 1960 lepsi od Kilius i Bauemlera (biedny, odsunęty Ningle próbował pocieszyć się z nową partnerką, Margit Goebel, i zajął 5 miejsce). W 1963 Kilius i Bauemler zostali mistrzami świata, kontynuując tradycję (zachodniemieccich par sportowych, żeby wymienić Herberta —Baier czy Baran-Fall). Oni też uchodzili za logicznych — zdawało się — nie posiadających konkurencji faworytów Olimpiady 1964. Do tego stopnia, że w dniu zawodów uda-

jącym się na stadion lodowy wiozom wręczano już fotografie Mariki i Hansa-Juergena z podpisem: „Mistrzowie olimpijscy!” O reklamę taką, jak się miało okazać, przedwcześnie postarała się agencja impresaryjna obojga ły-

żniarzy; było tajemnicą poliszynela, że zaraz po „murowanym” triumfie olimpijskim przechodzą na zawodowstwo.

W roku 1936, na Zimowej Olimpiadzie w Garmisch Partenkirchen, triumfowała par trzeci, „legendaria” Sonia Henie. Tym razem złoty medal przyszedł jej z najwyższym trudem, różnicę była minimalną: 1) Henie 42,5 pkt., 2) Colledge 41,8. Głośno mówiono, że „Henie nie miała prawa przegrać”, gdyż sędziowie wiedzieli, że podpisała kontrakt z menażerem paryskim JEFFEM DICKSONEM, który zostałby anulowany, gdyby Olimpiady nie wygrała... Więc ulitowali się nad dwukrotną już

Kto daje i odbiera...

W roku 1966 przywrócono Johannsonowi srebrny medal. Kto daje... i odbiera... i znów daje...

W roku 1966 przywrócono Johannsonowi srebrny medal. Kto daje... i odbiera... i znów daje...

ZBIGNIEW DUTKOWSKI

Od „Prezydenta” do „Tatry”

Już 90 lat upłynęło od momentu, kiedy w Koprzynicach wyprodukowano pierwszy samochód „Prezydent”. Rok później w tych samych zakładach wypuszczono na rynek pierwszą ciężarówkę „Tatra”.

Obecne zakłady te produkują rocznie 15 tysięcy ciężarówek, słynnych z tego, że mogą praktycznie dotrzeć wszędzie, po każdej nawierzchni. Sprawdzą się one na gorących piaszczystych Sahary, na lodach i w mroźnych Syberii. Wypadły też świetnie na ostatnim rajdzie Paryż — Dakar. (o)



Prezenty są dla grzecznych dzieci

ciąg dalszy ze str. 1

Wolę układać klocki. Ale dobrze się uczyć. Mam same piątki i trzy dwójki ze sprawowania. Teraz już nie będę miał dwójki za rozrabianie, bo rodzicom jest wtedy przykro i mówią, że Mikolaj nie przyniesie mi prezentów. Tylko grzeczne dzieci dostają paczki. Ale tata to też był kiedyś niegrzeczny. Mówił mi to dziadek Czesio.

— Jeszcze nie było u ciebie Mikolaja? — Raz już był, bo rano znalazłem pod poduszką samochodową nakręcaną kluczykiem, pieniądze na książeczki mieszkaniowa. Ale najwięcej paczek dostałem od drugiego Mikolaja — pod choinkę na Wigilię. Bo wtedy dostanę jeszcze prezenty od babci, dziadków i może jeszcze od kogoś? — A wiesz skąd te Mikolaje przychodzą? — Mikolaj to jest przebrany jakiś pan. Trzeba mu dać paczkę i on wtedy ją przyniesie. Tak robi mój dziadek

ciąg dalszy ze str. 1

Historyczna prakolebka Polki jest Poznańskie, będące teraz największym skupiskiem handlowców i melomaniów.

Pod Gabinetem w Plokiem znajduje się podobno nadal najwyższy w świecie maszt radiowy — 642 m, ale jeśli o-

każe się to nieprawdą, należy przypomnieć, że Ploek jest stolicą województwa już po raz trzeci. W XI wieku był stolicą Mazowsza, zaś w Królestwie Kongresowym — miastem wojewódzkim. O „Petrochemii” można napomknąć, niekoniecznie jednak, ponieważ truje, choć niektórzy twierdzą, że truje, ale w normie. W woj. białostockim jest największa wytwórnia filmów rysunkowych.

Jedynym w kraju rezerwat ciast znajduje się w woj. bydgoskim, tam też jest jedyne w kraju muzeum „ciuchich”, zaś w Cieszanowskim jest jedyne w Europie Muzeum Romantyzmu.

Najniższy położony punkt Polski — 1,8 m poniżej poziomu morza — znajduje się w

woj. ełbskim, natomiast polskim biegunem zima są Suwałki. Najwięcej sądów posiada woj. radomskie, zaś jedyną przemysłową plantację winogron znajduje się w Zielonogórskim. Jeśli gość (goście) zagraniczny nie sprawia jeszcze mimo tak prowadzonej konwersacji — wrażenia do cna osłupiałego można go ewentualnie poczęstować naszą „miss wyborową”, przy czym roda-

kom radzimy jednak poprzestać na orzandzie. Skutki picia wódki mogą przecież cały ten wielki wysiłek zniweczyć. I w żadnym razie nie należy informować gości o rekordowych sukcesach ekonomicznych „Polmosu”, który od chwili swego zaistnienia daje największe zyski, zajmując

pod tym względem w Polsce niezmiennie pierwsze miejsce. Po co mają wiedzieć, że z „Polmosem” równać się mogą tylko plocka „Petrochemia”, huta im. Lenina i huta „Kawtochem” łącznie, zajmujące notabędnie drugie, trzecie i czwarte miejsce w kraju pod względem nie zysków, lecz produkcji liczonej w złotychkach.

ANNA ALEKSANDROWICZ

Polska mozaika

W Białymstoku Powstanie pomnik HARCERSKIEJ SŁUŻBY OJCZYŹNIE

INFORMACJA WŁASNA

Wczoraj, 23 bm. pod przewodnictwem prof. Mariana Szamatowicza ukończył się Honorowy Komitet Budowy w Białymstoku pomnika „Harcerskiej Służby Ojczyźnie”. Pomnik, którego twórcą będzie znany rzeźbiarz Jerzy Grygorczuk, upamiętni wkład harcerstwa Białostockiego na rzecz kraju i regionu. Monument — w formie krzyża harcerskiego o wysokości około 5 m — wzniesiony zostanie w Parku Zwierzynieckim w pobliżu ul. Świerczewskiego.

W zamyśle twórcy jak i społecznego komitetu pomnik spełniać będzie istotną rolę wychowawczą, a w swej symbolice wyrażać treści patrio-

tyczne i obywatelskie. Tu odbywać się będą harcerskie uroczystości, apele, zbiórki, przegrzewania i ogniska, zakończenia rajdów i wędrówek. Obok przewidziano znicz i maszt.

Pomnik powstanie z funduszy społecznych w oparciu m.in. o sprzedawane „cegielki” i prace zarobkowe drużyn. Przewidziano konto złotówkowe i dewizowe.

Wstępne prace przygotowawcze przeprowadzone zostaną w I kwartale przyszłego roku a zasadnicze prace budowlane — od kwietnia do sierpnia 1988 r. Odsłonięcie pomnika nastąpi we wrześniu przyszłego roku. (h)

Święta pięćdziesiąt lat temu

Rok 1937 cechował się licznymi zatarciami strajkowymi. Jeszcze w grudniu, a więc w okresie niezbyt sprzyjającym podejmowaniu tego rodzaju akcji, wybuchło 5 strajków.

Około 20 grudnia poprawiły się humory pracowników sklepów bławatnych w Białymstoku, którzy po trwającym dwa miesiące strajku otrzymali podwyżki płac od 10 do 18 procent. Nie można było tego powiedzieć o 15 tysiącach bezrobotnych w województwie. Miejski Komitet Pomocy Zimowej Bezrobotnym w Białymstoku dwólił się i troi, by ulżyć ich doli. Tuż przed świętami wydano między innymi 900 kg słoniny i prawie tyle samo oliwy. Niestety, nie nadziało w porę mieszanek kawkowa z cukrem, którą miano dzielić dopiero po świętach.

Komitet przy pomocy organizacji społecznych przygotował w niedzielę 19 grudnia kwestę uliczną na gwiazdkę dla dzieci bezrobotnych; zebrano ponad 1805 złotych. Fundusz ten powiększono o inne datki.

Zamiast urządzania przy- 4-cie pożegnanych odchodzących z pulki oficerom delegacja 42 pułku piechoty złożyła do dyspozycji prezydenta miasta kwotę 180 złotych, którą przeznaczył on

NA GWIAZDKĘ DLA DZIECI

bezrobotnych. Ponadto osobiście prezydent Severny Nowakowski wraz z małżonką wpłacił na ten cel 20 zł — zamiast wysłania życzeń świątecznych i noworocznych. Nie pozostał w tyle i wojewoda Henryk Ostaszewski, przekazując 25 zł. W koszarach 42 pułku piechoty goszczono 200 dzieci z najuboższych rodzin z Wygody; otrzymały one poczęstunek i paczki z żywnością.

Dorośli liczyli na poważniejsze prezenty. Leon Kalmanowicz twierdził, że najmiłym podarunkiem będzie biżuteria i zapraszał do swo-

jego sklepu (ul. Sienkiewicza 8). W prasie szczególnie dużo było anonsów zachęcających do kupna radioodbiorników. Ch. Luzem (ul. Marsz. Piłsudskiego 1) obok radioodbiorników polecał też maszynę do szycia z 10-letnią gwarancją!

Na radio rzadko kogo było jednak stać, nie więc dziwnego, że na rynku w Michałowie przy choince zainstalowano radioodbiornik.

W Gródku, co prawda, była tylko sama iluminowana lampkami choinka, ale —

odczytanie połowy rezolucji w części, w której żądano rozpisania nowych wyborów do parlamentu. Następnie św. Mikołaj zaspokoili ciekawość dziennikarza pokazując mu, co kryje torba.

Na samym wierzchu był

SLICZNY BIAŁY DOMEK

z przywiązaną do niego syreną. Przedstawiciel „Robotnika” bez trudu zgadł, że ten reprezentacyjny domek to prezent dla prezydenta mia-

prawek do noweli oraz pracowników mających dopilnować, ażeby te ustawy nie pozostały na papierze — wszystko to było przeznaczone dla Inspekcji Pracy. Ponieważ stosunkowo często zdarzało się podrzucanie dzieci — głównie przez młodociane matki, dlatego też w torbie znalazły się butelki i kołyski dla naczelnika Wydziału Opieki Społecznej dr. Lewit. Dla urzędników były medale zamiast trzynastopiętniej pensji i innych dodatków, a dla bezrobotnych zamiast pracy — figi.

Organizacji sanacyjnej Obozowi Zjednoczenia Narodowego św. Mikołaj przy-

kowy numer tego pisma na podstawie art. 170 KK został skonfiskowany.

Święta minęły na ogół spokojnie. W Białymstoku była tylko jedna ofiara nadmier- nego spożycia alkoholu. W Hajnówce z dniem 25 grudnia firma „Terethen” wy- mowała pracę 32 robotnikom. W końcu grudnia po remon- cie uruchomiono Państwową Fabrykę Dykt w Dojlidach i 350 robotników stanęło do pracy. W kinach szły cieka- we filmy, a organizacje spo- łeczne i właściciele lokali występowali do Starostwa Grodzkiego o zezwolenie na organizację wieczorków syl- westrowych. Starostwo pod- jeło też inną aktualną decy- zję — zezwoliło na otwarcie w Sylwestra zakładów fryz- jerskich do dwudziestych trze- ciej.

Wśród sylwestrowych pro- pozycji wyróżniała się im- preza organizowana przez białostocki oddział Towar- zystwa Uniwersytetu Robotni- czego. Zgodnie z uchwałą członków oddziału po raz pierwszy bufet nie był za- opatrzonej w alkohol. W „Spotkaniu Nowego Roku”, które odbyło się w lokalu TUR (ul. Sienkiewicza 74) wzięli udział na trzeźwo członkowie TUR i PPS oraz wprowadzeni przez nich go- ści; składali od osoby trzy złote, od pary — złotych pięć.

1 stycznia 1938 r. od godz. trzynastej wojewoda biało- stocki w wielkiej sali Urzę- du Wojewódzkiego przyjmo- wał życzenia noworoczne od społeczeństwa dla Pana Pre- zydenta i naczelników władz Rzeczypospolitej. Kilka dni później, 5 stycznia, Sąd O- kregowy w Białymstoku u- chylił areszt nałożony przez Starostwo na nr 118 „Ro- botnika Białostockiego”, po- nieważ artykuł „Co kto o- trzymał na gwiazdkę (wy- wiad ze św. Mikołajem)” — zdaniem Sądu — nie zawie- rał wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny; zatem Sąd nie dopatrzył się cech przestępstwa przewi- dzianego w art. 170 KK.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ ode- tchnął z ulgą.

JAN JERZY MILEWSKI

Każdemu po trosze — od prezydenta dwudziestka

urządzona po raz pierwszy — stanowiła atrakcję, którą wieczorem przechodzili oglą- dać mieszkańcy okolicznych wsi z dziećmi.

Ważna była choinka, waż- ne były prezenty, ale musiał być i św. Mikołaj. Spotkał go w podręcznym hoteliku dziennikarz „Robotnika Białostockiego” i przeprowadził z nim rozmowę. Na początku gość usprawiedliwiał się, że przybył do Białegostoku z opóźnieniem, bo w małych miasteczkach myślano (ze względu na brode), że jest Żydem. Wiadomo, stosunek części drobnomieszczaństwa do Żydów nie był wtedy zbyt przychylny.

Po drodze miał też przy- kłą przygodę w Czarnej Wsi, gdzie komendant posterun- ku chciał mu skonfiskować połowę zawartości torby.

Była to aluzja do wyda- reń sprzed kilku dni, kie- dy to podczas wiecu zorga- nizowanego przez Polską Partię Socjalistyczną tenże komendant nie zezwolił na

sta. Było to o tyle łatwe, że zaledwie 20 grudnia Rada Miejska, po burzliwej dy- skusji zatwierdziła kwotę 6 tys. złotych na wyposażenie 2 pokoi reprezentacyjnych w służbowym mieszkaniu pre- zydenta Nowakowskiego.

Syrena zaś służyć miała do budzenia ze snu radnych miejskich; ponadto w torbie było dla nich trochę waty do uszu, którą powinni uży- wać podczas przemówień endeków. Resztę waty (tym razem do nosów) mieli o- trzymać obywatele miasta, którzy nie mogli doczekać się kanalizacji i uregulowa- nia Białki.

Dla ogółu obywateli była też kolejka powietrzna, aby nie łamali sobie nóg na chodnikach i brukach. Fa- brykantom przyniósł ów Mi- kołaj zamówienia chińskie i angielskie choroby, którą — jego zdaniem — woleli od angielskiej soboty (6-go- dzinny dzień pracy w sobotę).

Grube tomy nowych u- staw, noweli do ustaw, po-

niósł program oraz piosenkę zaczynającą się od słów: „Pod KOCEM maszerujemy”. Napisanie tego jednego wy- razu dużymi literami powo- dowało, że można było w nim widzieć zarówno nazwi- sko przywódcy OZON-u p. Adama Koca, jak i zupełnie coś innego, a co czyniło pio- senkę od samego początku bardzo wesołą.

Gdy

W TORBIE POJAWIŁ SIĘ DNO.

dziennikarz starał się upew- nić, czy coś w niej jeszcze się znajduje, bo ludzie chcieli nowych wyborów do ciał ustawodawczych i sa- morządowych. — Nie, wybo- row nie przyniosłem — od- powiedział życzliwy Mikołaj — bo byłoby to wybory z cu- dami. A takich przecież nikt nie chce.

Te końcowe fragmenty wywiadu były powodem kio- potów redakcji „Robotnika Białostockiego”. Decyzja Sta- rostwa Grodzkiego gwiazd-



Odkrycie nowego dnia większym jest szczęściem dla ludzkości niż odkrycie nowej gwiazdy — pisał w swej słynnej „Filozofii smaku albo medytacjach o gastronomii doskonałej” u schyłku o- siemnastego wieku wielbiciel dobrej kuchni, Francuz — Antheme Brillat-Savarin.

Sztuka kulinarna, obrzęd, kult? „Gdy wrzecie babę upiekły się — a siedzia- ty w piecu ze dwie godziny: przy czym cały czas trzeba było chodzić na palcach i mówić szepem — następował dramatyczny moment wyjmowania z pieca. Wtedy trzeba było wyjąć całą wagę po to, aby się jeszcze gorące ciasto nie wykrzywiło, jak na słynnym rysunku Andriollego. W tym ce- lu wyprost z form babę przekładało się na poduszki i dziewczęta kuchenne kotowały je na poduszkach jak usypiające dzieci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany był to wi- dok, kiedy grono kobiet z poważnymi mina- mi kotowało owe babę w obrzędowy sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata”.

Czytały ten wyjęty z „Książki moich wspomnień” JAROSŁAW IWASZKIEWICZ fragment, niejedną z co młodszych pań u- śmiechnie się półgłosem. Gdzieś miała czas na zabawę ze zwykłą babką. Celebrować go- towanie czy pieczenie? Zagoniona między pracą, sprzątanem, oporządzaniem dzieci i przyszytciem guzika do mężowskiej koszuli,

CINSKA na tydzień przed wigilią nie mogą jeszcze wymienić potraw świątecznego stołu. Na pewno indyk, barszczyk z uszkami, karp, może zupa rybna. Wszystko zależy od tego co uda się kupić. Sądząc po smaku konkur- sowych potraw, są doskonałymi kucharkami, ale przygotowań do świąt, jak ongiś było w zwyczaju, nie celebrowały. Zresztą, specyficz- ny charakter świątecznych posiłków przylu- mił telewizor. Związka w miastach.

Tradycja ożywa jeszcze na wsi, odpoczy- wającej po trudach jesieni. Do stołu siada się z zabyśnięciem pierwszej gwiazdy, naj- lepiej w parzystej liczbie osób. Podaje się natomiast nieparzystą liczbę potraw — 5, 7, 11... wszystkie trzeba skosztować — kto nie potraw w wigilę nie skosztuje, ten tyłu przy- jemności się w roku przyszytym wywrzecie.

Rozpoczyna się — zupa, po czym podaje się ryby, kapustę z grzybami, kluski z ma- kiem, a na deser mak z miodem, ciasto, owo- ce. W zależności od regionu Polski menu jest różne, ale zawsze w jego skład wchodzi odwieczne symbole płodności i urodzaju: mak i miód.

Ponad gwiazdy odkrycie

traktuje kuchenne zajęcia jako jeszcze jedne obowiązki. Im szybciej się z nich wywiąże tym więcej czasu dla siebie. Jeżeli go w o- góle starczy. Tempo. Czas, czas goni nas. Na tydzień przed świętami restauracja „Ka- meralna” w Łomży przybrała odświętny wy- gląd. Jeszcze nie ma choinki z bombkami, za to stoły przyciągają wzrok zastawą kung- ztownych potraw: wafelka po kurpiowsku z jalowcem, kruche babeczki z pieczarkami, szaszłyki, rolady, prosię pieczone, krasnolud- ki z kielbasą, ziemniaki faszerowane mięsem, śledź z grzybami, bażant nadziewany, kurczę a la indyk... wszystko przybrane w zieleń i czerwień jarzyn i warzyw. Finał konkursu na potrawy podlasko-kurpiowsko-mazurskie redakcji „Kontakty” i Społecznego Stowarzy- szenia Pracoznawczego „Stopka” oraz współ- zawodnictwa gastronomii łomżyńskiej PSS. Palce lizać.

— Zauważ, że mam jeden żołądek — wzdycha poeta PIOTR KUNCEWICZ, szefujący jury oceniającemu umiejętności kucharek poszczególnych restauracji. To jest rozpusta! Człowiek czuje się tak, jakby miał do wy- boru dziesięć pań, ochotę na wszystkie, a możliwości na siedem.

Na konkurs napłynęły z całej Polski recep- tury na trzy i pół tysiąca potraw z prababi- nym rodowodem. Część z nich złoży się na książkę. Część znajdzie się w jadłospisie ga- stronomii. Ale tylko część — zastrzegają się kierownicy zakładów. WŁADYSŁAW KU- CZYŃSKA z białostockiej „Hubertówki” i CZESŁAW ZALEWSKI z łomżyńskiej „Mazo- wieckiej” mówią o problemach ze zdobyciem odpowiednich przypraw, co powoduje, że cho- ciaż konkursowe potrawy trafiają do menu, jednak technologia ich przygotowania odbiega od wzorca. Pozbawione bywają też, ze wzglę- du na ceny, dekoracji. Restauracyjny konsu- ment chce przede wszystkim szybko i tanio zjeść albo... zakąsić. Na wykintność pozwa- la sobie od święta.

Na święta? Szefowa kuchni „Matysiaków” — MARIA SACHMACIŃSKA i jej koleżan- ka z „Kameralnej” — KRYSZYNA SOBO-

Laureatka jednej z trzech nagród kuli- narnego konkursu — ANNA GOŁĄBEK jest nauczycielem-metodykiem w Ośrodku Dosko- nalenia Nauczycieli. Przepisy wyszperała w starych książkach, podczas badań nad gwarą. Wyniosła z domu.

— Właściwie nie wymyślałam nic, pozbie- rałam to co w Suwałskiem jest jeszcze żywe i stosowane. Są to głównie potrawy kuchni litewskiej, najbardziej oryginalne i najmniej znane. Ich przygotowanie wymaga czasu, któ- rego na co dzień nie ma. Ale wigilia w moim domu jest taka jaka bywała u rodziców. Tradycyjnie koronną potrawą musi być agnionka — z tartego maku z jamanym ciastem i rodzynkami. Z równie tradycy- nego kłódnia muszę zrezygnować, trzeba by nań zużyć połowę prosiaka. Myślę, że powinniśmy wrócić do korzeni naszej kuchni, tego co gotowały mamy i babcie.

Dla krytyka literackiego — PIOTRA KUN- CEWICZA, który w przerwach analizy do- robku literatury współczesnej doby sam lu- bi pitrasić, sięgając do kuchni chińskiej, hinduskiej i polskiej, jest to kwestia sakra- lizacji życia. Zamiast domu mamy mieszkanie, zamiast ogródka — jakąś działkę, utraci- my wspaniałe dania i obiady domowe na rzecz polikania stołówek. Powrotów nie ma, ale gdybyśmy mieli chociaż odrobinę świadomości co robimy i od jakich — mimo wszystko — głębin historii sięgamy każdym gestem? To może stanowilibyśmy bardziej składną część tej wielkiej pełni, jaką powin- na być kultura. Ubóstwo kuchni, ubóstwo ducha. Jedno wynika z drugiego. Kuchnia polska cierpi na straszliwy stereotyp, a prze- cież jest swoistą dziedziną kultury.

— Gotowanie można porównać do pisa- nia książki. Czemu nie? Jedno i drugie musi być doskonale, perfekcyjne. Z tym, że na książkę czeka się latami, a narodziny po- trawy trwają nierównie krócej. Poza tym wy- daje mi się, że poznając kuchnię, można poz- nać ludzi, którzy ją tworzą i z niej korzy- stają.

Smacznego.

JERZY BRODZIUK

Ten sam choinkowy blask

Może otrzymały coś miłego od Mikołaja. Może spotkała je niespodzianka inna w tym roku.

Niewątpliwie jednak ten moment zapamiętają na długo; a i w doku- mentach pozostanie ta data. Obietnicę zuchową w SP 36 w Białymstoku widział przez obiektyw Zdzisław Lenkiewicz.

Skupienie, emocja — zarówno malców, jak i pedagogów oraz rodziców. Blask świeczki taki sam jak na choince. A wśród zdobywczy uśmiechów w mijającym roku będzie także mundurek i odznaka zuchowa z Białym Orłem.



Recepta na przyszły rok

BARBARA HOFF, projektantka mody:

— Uważam, że bezsensowne jest dawanie innym recept bo ludzie nie słuchają rad. Taką mają naturę. Każdy sam sobie może dać radę, odpowiadając przede wszystkim na pytanie: jak żyć. Ale to jest przecież dokład- nie to, czego nie wiemy. Może należałoby tak żyć, żeby w chwili śmierci uważać, że to życie miało sens? Ale ja nie wiem jak to ma być.

MARYLA RODOWICZ:

— Poza dostrzeganiem własnego nosa trzeba widzieć tro- chę dalej. Czasy idą ciężkie, więc może rażniej będzie w gromadzie. O tym, że słabszym należy pomagać, uczyłam się już w harcerstwie, ale tak to jest, że gdy człowiek do- rosł, to wszystko inaczej wygląda. Jest się zagonionym, myśli się głównie o sobie i swoich problemach.

ZBIGNIEW WODECZKI:

— W naszym społeczeństwie jest mnóstwo bezinteresownej agresji. To się stało już w nas tradycją, że Polak Polakowi wielkiem. Wzięło się oczywiście z tego, że każdy współbywa- tel jest potencjalnym zagrożeniem po wszystkim: po szynce, masło, takśówkę. Dlaczego o tym mówię? Aby w przyszłym roku, a także w następnych latach ludzie pomimo tego, że czegoś nie dostaną, gdzieś się spóźnią, robili dobrą minę do najgorszej gry i starali się traktować wszystko z uś- miechem.

BOGUSŁAW KACZYŃSKI:

— Mam nadzieję, że przyszły rok będzie piękniejszy i ra- dośniejszy od tego, który właśnie zegnany, że wiosna będzie prawdziwą wiosną, lato — upalnym słonecznym latem, a złota jesień pozwoli nam w ciszy i spokoju rozmyślać o życiu, o sztuce i o tym wszystkim, co najpiękniejsze.

— Ale aby to wszystko mogło być spełnione, musimy być dla siebie lepsi, życzliwsi, uprzejmiejsi i to nie tylko w chwili, kiedy bije dzwon Zygmunta, ale codziennie, nawet wtedy kiedy za oknami jest szaro, smutno i buro.

Rozmowa z zastępcą redaktora naczelnego białostockiej Rozgłośni Polskiego Radia — MARKIEM LIBERADZKIM

— W wielu domach mamy już świąteczne przystrojone drzewka a jaka będzie radiowa cho- inka?

— Dostosowana do nastro- ju i z licznymi prezentami dla naszych słuchaczy z wo- jewództwa białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego. Przygotowaliśmy ciekawe au- dycję, sporo dobrej muzyki. Zanim 24 grudnia zasiadzie- my do wspólnego stołu i zjemy sobie życzenia, propo- nuje wysłuchanie o godz. 17.10 felietonu wigilijnego połączonego z koncertem.

W programie świąteczno- noworocznym interesujących pozycji będzie sporo. W au- dycji „Po zapaleniu choinki”, przygotowanej przez Janinę Raczkowską, ludzie różnych profesji, przedstawiciele wlu- ro środowisk będą się wypo- wiadac co jest dla nich naj- cenniejsze ze świątecznej, bo- żonarodzeniowej tradycji, do czego przywiązuja najwięk- sze znaczenie. Ciekawy krag rozmówców i interesujące refleksje zachęca z pewnością ci słuchaczy do włączenia radioodbiornika 25 grudnia o godz. 9.

Najciekawszym i najbar- dziej atrakcyjnym naszym radiowym prezentem będzie — nadany 26 grudnia o godz.

9 — program „Rotuli, pio- senki i koledy”. Autorki — Zofia Gladyszewska i Janina Raczkowska wyszukiwały tek- sty koled z XVI i XVII wie- ku a także oryginalną muzy- kę. Wszystko to opracowa- ły a także umiejętnie połą- czyły z fragmentami litera- tury dotyczącymi tamtego o- kresu. Jako wykonawcy wy- stąpią uczniowie białostoc- kiej szkoły muzycznej. A „rotuli” to nie innego tylko stara polska nazwa koledy. Zachęcam do wysłuchania.

25 i 26 grudnia przedsta- wimy też tradycyjne obrzę- dy w różnych częściach na- szego regionu. Będzie wiele muzyki — i tej nastrojowej, i tej z gatunku lżejszego, rozrywkowego. Do słuchania i tańczenia.

Ponadto 26 grudnia w godz. 10.30—11 dodatkowy — na życzenie wielu słuchaczy — koncert życzeń.

Zapraszamy także na nie- dzielny, 27 grudnia „Poranek u dziennikarza”. Radiowi go- ście — Kurpianki z Nowo- grodu opowiedzą o zapo- mnianych już kurpiowskich o- brzędach i potrawach. A wszystko to podane piękną gwarą.

Tych wszystkich, którzy wybierają się na sylwestro- wy bal zachęcamy w czwar-

tek, 31 grudnia o godz. 17.45 —18.30 do przypomnienia ta- necznych przebojów w takt doskonałej muzyki. Przed całonocnym szaleństwem na parkiecie — jak znalazł.

1 stycznia, w godz. 9—11, specjalne noworoczne wyda- nie „Popołudnia młodych”. Będzie sporo dobrej muzyki.

Prezentacja regionalnej li- sty przebojów, dziennikarskie ciekawostki i perypetie z całego roku.

Największą jednak niespo- dzianką w poniedziałek, 4 stycznia. Będzie to zmiana programu radiowego. Stali- my się bogatsi.

— ... Finansowo?

— Programowo. Zys- kaliśmy bowiem jedną godzinę dziennie. Do- tychczas w dni powszednie mieliśmy 2 godzinny 55 min.

do naszej dyspozycji a obec- nie będą cztery. W nie- dziele program też będzie zwiększony z 2 godz. 15 min. do trzech godzin i piętnastu minut.

Pojawią się więc nowe au- dycje i cykle programowe. Zmianie ulegnie charak- ter niektórych audycji. Mówię krótko: wyraźnie zwiększenie serwisu informacyjnego pre- zentowanego w atrakcyjnej formie radiowej, wszystko to

w trzech naszych wojewód- twach, trwać będzie do godz. 8.

Nowością będzie pro- gram popołudniowy, czyli „białostockie piętnaście minut” w ogólnopolskiej dwójce. Będzie to serwis in- formacyjny z całego naszego regionu a także audycje pu- blicystyczne i interwencyjne, kulturalne i dla pań domu.

Trzeci odcinek programo- wy rozpocznie się o godz. 16 i potrwa do... TELEXPRES- S-u. Przedstawimy wia- domości, reporterskie aktual- ności a także — zależnie od dnia tygodnia — reportaż o- raz magazyny artystyczne, muzyczne i publicystyczne. Popularne „Popołudnie mło- dych” — w poniedziałki a półgodzinny koncert życzeń — w soboty.

— W niedziele też tak wczesna pobudka?

— Pozwolimy pospać nie- co dłużej. Na antenie zja- wiamy się bowiem o godz. 8. Po „Białoruskim Magazynie Radiowym”, 150 minut blo- ku programowego „Poranek u dziennikarza”, prowadzone- go na żywo przez autorów, zawierającego materiały o problematyce kulturalnej a także reportaże. O godz. 21.05 słuchać nas będą kibice. Po- damy bowiem serwis sporto- wy z naszego regionu.



PRZY WIGILIJNYM STOLE NA DROGACH POLSKI W ORSZAKU Z GWIAZDKĄ W NOCNEJ CISZY

— Są dni, o których nie można zapomnieć — mówi sędziwa Maria Radziejewicz, z dziada przadziada mieszkanka Lipska nad Biebrzą. Osiemdziesiąt pięć Wigilii przeżyła, ale do tej jednej powraca pamięcią każdego roku — 24 grudnia 1944 r. I choć Lipsk był już wolny, zbyt wiele było rozstań i niepowrotów, by można było opłatkami tam się bez lez.

— Ale wtedy i opłatek nie było — wspomina. — Chlebem się lamano, a kromka była jedna. Zamiast dwunastu potraw, jak każda tradycja, były tylko trzy. Prócz obowiązującej kutii przygotowała jeszcze kluski karłowate, nieozdobione makiem, kwasek z cebulą i soją, no i ryba. Biebrza przez wiele lat żyła mieszkanców tego Batorowego grodu, któremu polski król węgierskiej cazarze przed czterema wiekami nadał prawa miejskie.

Cztery tylko choinki naliczono w tej pierwszej Wigilii. Najstrojsza była u pani Marii, ponieważ w jej domu mieściła się szkoła. Drzewko było zdobione w słomiane i papierowe lańcuchy, którym kolorysty dodawały lupyne cebuli i żółta wybrane z siana. Zamiast bombek wisiały wydymuszki z julek z kolorowymi buziami pajacyków, mikolajów i aniołów, różne wielkości. Gdzieś gdzieś pobyskiwały gwiazdki, zrobione ze srebra od opakości czekolady i cukierków, ostających z dawnych lat. Wszystkie te cudnoki były dziełem rąk dzieci i ich nauczyciela, Witolda Pawliuka.

Na choince nie płonęły świeczki, tylko — kopcuch na stole, okalający płomień żalobnym dymem. Wokół siedziało kilka rodzin, a właściwie ich resztki — wróg wyrwał co najmniej jedną osobę z każdego domu. Przyszli więc: Bartoszewice, Misiejczykowie, Kornilowice, Franciszek Wierzbolowicz z żoną, sędziwa Jan Dadura, Bronisław Kasjanowicz — i 9-letnia wówczas Kryśka Cieśluk (dziś opiekunka Muzeum Regionalnego) wraz ze swoimi rówieśnikami.

Młodych przy stole nie było. Ci, którzy przeżyli, wstąpił do Ludowego Wojska i gwiazdki betlejemskie wypatrywali w okopach nad Wisłą, myśląc o swoich bliskich nad Biebrzą.

Radość z wolnego święta zagłuszał ból. Koledy nie brzmiały ochoczo. Wrog stał po drugiej stronie Biebrzy. Odgryzał się. Pociśki co jakiś czas wybuchali w pobliżu. Większość zabudowań leżała w gruzach. Z okaleczonej wieży kościoła dzwonił nie wolał na pasterkę. Głucha, uroczysta cisza.

Dzieci skupione wokół choinki nie znalazły pod nią prezentów. Jedyną słodyczą

Gdy chleb był opłatkami

był cukier przyniesiony przez radzieckich żołnierzy i sanitariuszy. W pamięci lipczan zostały dziś tylko ich imiona: Niurka, Wiera, Sierioża, Wowka. Tylko Kola Astafurin — chłopak — na schwał, z szeroko uśmiechniętą buzią, płową czupryną i z bajanem, utrwalił się najbardziej.

„Wy, czto, uże Nowy God wstreczajecie?” — zdziwił się radziecki żołnierz na widok choinki i siedzących przy blednie zastawionym stole. A gdy poznali rangę polskiego święta, wysłali Kolkę do wojskowego kuchara. Za kilkanaście minut na stole pojawiła się „swina tuszonka”, pszeniczny chleb, konserwy rybne i butelka „spiritu”.

— Najstarszy z naszego grona, Misiejczyk — wspomina dalej pani Maria — pokroił chleb na plasterki, aby obdzielić nimi nie tylko uczestników wigilii, ale całą wieś. Nie byłoby zbyt rozmownym przy stole, za mocno ścisłało w gardle. Ale to było dobre, a nie zjeść ścisłać. Rozchodzilo się od tego po wnętrzu jakieś ciepło, które nigdy już nie pozwoliło wyznieć sercu.

Wnet Kola podchwycił na bajanie melodie koledy „Wśród nocnej ciszy...”, którą zanuciła Kornilowiczowa. Niektórzy płakali rzewnymi łzami, ale to był także dobry początek, taki, po jakim czuje się ulgę.

Spiewaliśmy na przemian — to koledę, to rosyjską pieśń. Oczywiście, przy koledach myślny rej wiedli, choć Kola bardzo szybko je opanował i słowa „W żłobie leży, któż pobieży, odchodząc malemu...” wychodziły mu całkiem składowe.

Wiele optymizmu wniosła skoczna „Katusza”, tylko z nieco zmienionym tekstem: „Rascwietali jabłoni i gruszy, popili tumany nad rieką, uderali Niemcy z Bielorusi, uderali placuzi domoi...”. A Wierka, pamiętam, krzyknęła: „Budcie spokojny lipczanie, oni uże i z Polisz udrinajut!”

W oknie pojawił się kozi

leb. Przyszli kolednicy. W sieniach otzrepali się ze śniegu. Król Herod z Inłaną brodą sięgającą niemal do kolan, z berłem zrobionym z nogi od stołu, rzekł: „Gospodarzu, gospodynie! Chodźcie z koledą. Czy możemy wam zaśpiewać, wasz dom rozweselić i Bożym słowem pocieszyć?”

„A śpiewajcie, śpiewajcie...” — rzekł Kasjanowicz. I popłynęło gromkie: „Dziś w Betlejem wesoła nowina...”. A Kola Astafurin, jak zwykle, już chwycił melodię na swojej harmonosce.

Naszym radzieckim przyjaciółm bardzo przypadł do gustu kolednicy. To chyba był młodzi z okolic. Rogaty diabeł z drucianym ogonem skakał pokracznie, zaś anioł walił go różgą. Z Trzech Króli najgroźniejszy był ten, z gębą umazaną sadzą. Kozioł najbardziej zalecał się do sanitariuszek, bo co i raz bódł je rogami. Niurka i Wierka były tak oczarowane widowiskiem, że zaprosiły koledników na kwatery radzieckich żołnierzy, którzy stacjonowali nie opodal w dwóch ocalałych stodach. Tam naszych ugoszczono żołnierskim wiktorem. Chłopcy nie wszystko zjedli, część zanieśli swoim bliskim. Jeszcze mieszkali wtedy w ziemiankach i piwnicach.

Na odchodnym staropolskim zwyczajem kolednicy pożegnali żołnierzy z gwiazdka na uszatkach: „Za koledę dziękujemy, zdrowia szczęścia winszujemy, ażebyście zdrowi byli i razem z nami się weselili”. A diabeł, nie byłby diabłem, dodał: „I kapeluszem wódkę, pil!”

Spokój Wigilijnej Nocy zakłóciły wrogie strzały z drugiej strony rzeki. Natychmiast z Kopca Wolności, cośmy go własnymi rekoma usypali na dziesięciolecie niepodległości, zagraly karabiny czerwonoarmistów. Bój ten nie przerwał ocalałych ludzi a wręcz podniósł ich na duchu. Kiedy strzały umilkły, jakby nakazem chwili, odpowiedzieli Rotę: „Nie rzućmy ziemi skąd nasz ród...”

Tam, gdzie ongiś padały pociski, dziś wyrósł w Lipsku domy. Dużo domów. I rzeźby, symbolizujące trud, walkę i miłość do ojczyzny. Strzeliste tople w Alei 40-lecia, pna się ku niebu, jakby chciały być bliżej tych, którzy polegli w boju. I w mece. Na ich grobach w wigilijny wieczór i w tym roku zapłoną świeczki.

A w jasnych domach, z roziskrzonymi choinkami w oknach, na świętecznych stołach, będą także przygotowane nakrycia dla nieobecnych, lub tych, którzy mogą przyjąć niespodziewanie...

STANISŁAW FIEDOROWICZ

Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku w polskiej kulturze mają wielowiekową tradycję. Na ich staropolski, a nawet współczesny model złożyło się wiele różnych elementów obrzędowości sięgającej prastawiańskich godów i pogańskich świąt agrarnych, a także obyczajów pochodzących z kultury rzymskiej i germańskiej oraz tradycji chrześcijańskiej.

Władze kościółne niegdyś zwalczały niektóre zwyczaje pochodzące z obrzędów pogańskich, m.in. podkładanie siana pod obrus na wigilijny stole. Ale zwyczaj przetrwał.

Przez wieki kształtował się polski, rodzimy model świąt, bliski naszej narodowej tradycji.

Koleda i szopka — towarzyszyły Świętom Bożego Narodzenia i Nowego Roku niemal od narodzin tej tradycji, która na ziemiach polskich przypuszczalnie pojawiła się na początku XVI wieku.

Pozostały one do dziś żywym motywem szczególnie w kulturze ludowej i w folklorze. Ale też inspirowały twórczość pisarzy, poetów, muzyków i malarzy. Motywy te zawarte są w twórczości XVIII-wiecznych poetów, w dziełach naszych wielkich romantyków, w dramatach Wyspiańskiego, Rydla, w pisarstwie Żeromskiego i Reymonta, jak również w literaturze współczesnej.

Natomiast choinka nie wywodzi się z najdawniejszych tradycji polskich. Weszła do naszego obyczaju narodowego dopiero w XIX wieku jako element zwyczajów importowanych z południowych Niemiec. Ale i w Polsce w dawnych wiekach w niektórych regionach np. na Podhalu strono świecidełkami różni i gałązki. Prawdopodobnie z



Jak każe tradycja

tych właśnie niejako korzeni — podhalańskiego i niemieckiego, wyrosła nam choinka współczesna.

Tradycja koled, szopek i choinek uznana przez społeczeństwo polskie za tradycję narodową miała szczególne znaczenie w czasie prawie 150-letniego okresu rozbiorów. Zawarta w tej tradycji narodowa symbolika integrowała Polaków niezależnie pod którym z trzech zaborów żyli, w niemalym stopniu przyczyniła się wówczas do zachowania narodowej postawy.

Również w okresie II wojny światowej tradycje związane ze Świętami Bożego Na-

rodzenia pozwalały ludziom choć na chwilę oderwać się od okupacyjnej tragedii i przetrwać upokorzenie. Na przestrzeni dziejów społeczeństwo polskie (jak zresztą i inne społeczeństwa Europy) często przeżywało zagrożenia niesione nie tylko przez wojny, ale może nawet częściej — przez wielkie epidemie ospy, dżumy, tyfusu itp. Ludzie umierali przedwcześnie; starości dożywały zaledwie 5—6 proc. populacji.

Lęk przed śmiercią sprawiał, że obchodzenie świąt, niosących radość i nadzieję, stawało się niejako odtrutką na wszelkie nieszczęścia.

Istnieje niemal powszechna opinia, że w dawnej Polsce, zwłaszcza przy okazji świąt, panowało „wielkie pijaństwo”, uważane jako także swoista, choć niechlubna tradycja.

Ale tak strasznie jednak nie było. Tak przynajmniej twierdzi prof. dr hab. Zbigniew Kuchowicz, uznany autor w zakresie znajomości historii kultury, obyczajowości i stanu zdrowia społeczeństwa dawnej Polski. Otóż w świetle badań przeprowadzonych przez tego naukowca twierdzenia o powszechnym pijaństwie naszych przodków są przesadne. Owszem, pito w Polsce wódkę już w XVI wie-

śni pełne zachwyty nad małą Dzieciną. I to były pierwsze koledy.

Jasełka dostały się do Polski w wieku osiemnastym. A wyglądały tak jak to opisał ks. Kitowicz: — „w górze wzniezionej szopy, pod dachem i nad dachem, Aniołowie unoszący się na skrzydłach jako by śpiewający: Gloria in excelsis Deo. Toż dopiero w niej jakieś odległości jednego od drugiego pasterek padający na kolana, ofiarujący dary Jezusowi, ten barana, ową koźle. Dalej za szopką w obu stronach pastuszków i wieśniaków, jeden pasący trzodę, inni śpiący, inni śpiewający. Po świącie Trzech Króli wprowadzano tych monarchów z damami i z asystą najrozmaitszych figur. Wic były uszykowane regimenta gwardii polskiej, armaty, chorągwie husarskie, rajcarskie i rozmaitego autoramentu wojsko”.

Było na pewno ciekawie, lecz znaleźli się zbytnie osoby swawolne, którzy do jasełek wprowadzili osoby niepożądane, a i przypieśnili też dalekie bity od pobocznych koled, i tak to w III roku zakazano w Warszawie przedstawień jasełkowych, wymyślono więc szopki, które urządzano w domach prywatnych, a pierwsze miejsce zajęła sława i dziś „szopka krakowska”.

Mówią, że szopki z ruchomymi figurami wymyślił francuski dentysta Jan Broche w 1680 r. Obiecał z tymi szopkami Francję, lecz w Szwajcarii posiadający o czary wiracyny został do więzienia. Ruchome figury w szopkach pojawiały się od tamtego czasu w wielu krajach i u nas tak do dziś. Zmieniła jednak swój religijny charakter, pojawiały się osoby świeckie, z rymowanymi przypieśnkami, niekiedy złośliwymi, nie pozbawionymi jednak humoru.

W szopkach ludowych, gdzie wszystkie figury wykonywano z drewna, umieszczano korowody weselne, grały całe kapele, szopki były wesołe, migotliwe, było na co popatrzeć i co podziwiać. A nad tym wszystkim pyzate, słodkie aniołki z wstęgami, na których wypisano słowa odzwierciedlające wieczną tęsknotę — „Pokój wszystkim ludziom na ziemi”.

ANNA ZAREMBINA

W miarę jak zbliżały się święta, moja koleżanka przychodziła do pracy coraz częściej. Nie pytałem nawet, co jej dolega — to było dla mnie oczywiste. Koleżanka jest po prostu fanatyczką świąt. Przygotowanie tygodniami, biega po sklepach, sprząta, surduje, gotuje i piecze tak długo, aż pada ze zmęczenia.

W tym roku jednak do świąt doszło wesele córki. Ślub miał się odbyć dopiero po Nowym Roku, ale młodzi woleli, żeby to było w święta właśnie. Przyjęcie weselne

ku, ale mniej niż w innych krajach. W XVIII wieku na przykład chłop wypijał rocznie około 3 litrów słabej wódki i około kilkadziesiąt litrów piwa. Więcej pijało na szlacheckich dworach, ale dużo mniej niż w ówczesnej Anglii i Rosji.

Sytuacja zmieniła się dopiero w XIX wieku, gdy poznano produkcję taniego alkoholu z ziemniaków. Wówczas istotnie Polacy zaczęli pić więcej, co nastąpiło również za sprawą zaborców.

Mówi się, że ginie tradycja i coraz bardziej „upadają obyczaje”. Ale tak naprawdę mimo zmian w zachowaniach i otaczającej nas rzeczywistości, to jednak nasza dzisiejsza obyczajowość nie odbiega od staropolskiej. Weźmy chociażby panującą dziś tytułowaną. W niewielu krajach Europy operuje się tak wieloma tytułami: magnis, dyrektorem, mecenasem, doktorem, redaktorem itp. Jest to przecież dalszy ciąg staropolskiej tradycji szlacheckiej. Szlachcie nigdy w Polsce nie było szlachciem. Musiał być również podczaszym, stolnikiem, miecznikiem, podkomorzym itp.

Przywiązujemy sporo uwagi do tradycyjnej obrzędowości, do stroju i poluru. Kulturywemy przy tym nawiązywać do tradycji rozmaitych świąt i okoliczności. W dzisiejszej obyczajowości obserwujemy wprost renesans wzorów i reguł staropolskich, zmienionych co najmniej wymogami współczesności. Wiele z nich niewątpliwie ma wymowę szlachetną, są piękne i dodatnio wpływają na sposób i kulturę naszego życia.

Ale niestety, przejęliśmy z przeszłości również nawyki i tradycje niechlubne, z których ciągle jeszcze nie możemy się wyzwolić. Jesteśmy wszak dziećmi naszych przodków.

HENRYK WILK

JASEŁKA

Bez ustrojonej kolorowej choinki, bez uroczystej wigilii, prezentów gwiazdkowych i bez szopki, Święta Bożego Narodzenia nie mają żadnego uroku. I właśnie nie wiadomo dlaczego szopka powoli odchodzi z tradycji. Jeszcze tylko wciąż trzyma się moc o szopka krakowska. Są to pięknie wykonane szopki, ruchome, oświetlone, nawet z melodią koled, cuda wprost takie, że się nie można naprzeczyć, cieszą się sławą, daleko za granicami kraju.

Coraz rzadziej natomiast chodzą chłopcy w świąteczne wieczory z szopką, z gwiazdą, z koledami. A jeszcze tak niedawno bywało, że gdzieś do domu zgryzał chłopów, zaświecał się w szopce kolorowe figury, lub zakreślił się wielka, strzępiasta gwiazda, huknie „Wśród nocnej ciszy”. Na zakończenie wizyty życzenia osobiste gospodarzom, ułożone do rymu, serdeczne i wesołe odśpiewane zostają i dalej do innych domów w ten zimowy, wieczór świąteczny.

Bo Jasełka mają bogatą i bardzo starą tradycję.

— ★ —

Było to dawno, dawno temu. Jak głosi legenda, w 1223 roku papież Honoriusz dał św. Franciszkowi pozwolenie na odtworzenie cudu betlejemskiego. Udał się więc Franciszek Seraficki do Grecji i tam wraz ze swoimi przyjaciółmi urządził w lesie pierwsze jasełka. Była więc stajenka, żłobek, a wszystko wyglądało tak pięknie, że oglądający ludzie w Grecji zaczęli śpiewać pie-

wtedy wspólnie napisać nowe koledy polskie, które byłyby dalszym ciągiem tych cudownych, tradycyjnych, starych. On słowa, ja — muzykę. Koledy, które byłyby nie tylko wyrazem naszych uczuć i radości, wspomnień dzieciństwa, ale i odbiciem tego czystego białego światła wokół...

Nietrudno uwierzyć w nieodwołalność spotkania warszawianina Szemiotha z góralami beskidzkimi, Hadyną. Łączyło ich umiłowanie gór — temat dzieł powstałych właśnie od dnia spotkania.

Trudno o werdykt, był Kazimierz Szemioth większym w swej poezji, czy też w malarstwie? Jego poetyckie słowo uderza klarownością skojarzeń — w toniku wierszy, w strofach koledy czy znanej piosenki (stynna, nagradzana „Jaskółka uwieszona”), a także w licznych audycjach radiowych (cykle: „5 minut o wierszowaniu”, „Parnasik”) czy w tekstach z pism literackich, na łamach których zmagął się o czystość etyki zawodowej. A jego malarstwo w różnych technikach i formatach — znane i cenione nie tylko w kraju. Wymieniane w encyklopediach sztuki światowej. Całą serię akwarel z ulubionym tematem górskiego pejzażu zimą, w którym koniecznie — drewniane chatki i konie u sanek, możemy również podziwiać na składanych pocztówkach nowoczesnych. Zauważmy, z których zbiorów reprodukcje pochodzą. Jakże piękna stanowią ilustrację do słów niektórych koled:

Święta to biele

mrozy i zamieć a w białach zieleni choinek tancie. Święta to cisza miłość w zarodku białe klawisze górskich płotków...

„Obrazy malowane słowem. — Mówi Stanisław Hadyna o poezji Kazimierza Szemiotha. I o jego akwarelach. — Wszystko w nich jest bliskie, swoje, i nie słysząc nie rzeczywistości w swej zwieńczonej rzeczywistości...” Tak! Patrząc choćby tylko na pocztówkę, słyszymy chrząst śniegu i podzwanie sanek pędzących między opłatkami górskiej wioski.

Poezja i malarstwo przyjaciela i towarzysza wspólnych wędrówek tatrzańskich, znajdują swoje odbicie w muzyce skomponowanej przez Stanisława Hadynę do strof no-

wych koled. A że w twórczości obu, prócz fascynacji górami i górskim folklorem, tak wiele jest wyrazistych akcentów głębokich patriotyzmu, w tej tonacji brzmi również ich koledy. Tak barłodo polskie, że słowami i melodią kojarzą się na przemian — z mazurem to zrw polonezem. Z pieśnią ludową albo wyjętą ze starych pieśniów domowych.

Dziś rozmyślać Polskę będą do pradawnych wróć dat gdy z wigilii i koledą bój wygasał, ogień biał.

(...) Chcę przybliżyć Polski

aż po Wybieknie dni gdy Mazurek białą długo aby w marszu stał się

(...) Hymn.

Jeśli Stanisława Hadynę



„...Święta to Polska, którą wspominasz rodzinną wioską, śnieg jak pierzyna...” (Z wierszy wigilijnych i akwarel K. Szemiotha)

znamy nie tylko jako twórca Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, latami z nim związany, jeśli zetknęliśmy się z twórczym literackim Hadyny-pisarza, to słuchając tej koledy, chciałoby się na powrót sięgnąć po jego książkę „Droga do Hymnu”. To tutaj walczy historyczne mieszając się z legendą, ale i sensacją z osobistych przeżyć autora. Niektóre z nich prezentuje nam w cyklu telewizyjnych programów: „Niezwykłe opowieści Stanisława Hadyny”.

Miłośnicy jego różnorodnych talentów wiedzą, w których utworach muzycznych czy literackich szukać głębszych doznań. Wiedzą też, dlaczego Stanisław Hadyna znalazł się w gronie twórców, uhonorowanych tytułem Zasłużonego dla Kultury Narodowej.

— ★ —

„NARODZIŁA NAM SIĘ DOBROC...” Gdy w nastroju ciszy zimowego wieczoru sięgniemy po kasety czy płytę z tym tytułem, zwróci naszą uwagę efekt końcowy dzieła osobliwego tandemu: poety-malarza i kompozytora-pisarza. Zachwyci brzmienie słów, melodia, muzyka. Odtwórcy — również niezawodni — Wiesław Ochman, tenor światowej sławy i Marek Siewen, muzyk z bogatym doświadczeniem artystycznym, ze stworzoną przez siebie słynną „Capellą Arcis Varsoviensis”.

Czy muszę szerzej przedstawiać ulubieńca miłośników o-

perowych arli — Wiesława Ochmana? — Jako absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej, miał być inżynierem ceramiki, a stał się słynnym śpiewakiem, przed którym stoją otworem największe sceny operowe świata, estrady sal muzycznych, firmy płytowe.

W styczniu przed rokiem śpiewał nowe koledy i pastorałki polskie Szemiotha i Hadyny na koncertach muzyki polskiej w Nowym Jorku. Towarzyszył mu zespół Marka Siewna. Wzbudziły ogólny zachwyt. Zaś cały dochód przeznaczyli na odbudowę zabytków Krakowa. Także ze sprzedaży płyt i kasety z koledami o rodzącej się DOBROCI, których niestety nie starczyło wszystkim...

Czy tylko rodaków na dalekiej obczyźnie wzruszają słowa i melodia tak mocno kojarzące się z nastrojem świąt? Czy nie tęsknimy do niepowtarzalnej aury serdecznego ciepła w kręgu najbliższych? — Oczywiście! Znamy podobne przeżycia. Choć może nie zawsze odkrywamy je przed innymi.

Bądźmy przynajmniej szczerzy wobec siebie. Nie wystydźmy się ciepłych uczuć wywołanych melodią koledy. „Święta to biele”. „Gdy oienka chał już piona”. „Na pasterkę górale”. „Poprzedź jedline”. „Opłatek dla mamy”. „Ludzkim głosem”, także z innych — wybierzmy coś dla siebie. Spróbujmy uwierzyć, że NARODZIŁA NAM SIĘ DOBROC...

AGNIESZKA ŚWIDZIŃSKA

Dobroć się rodzi... czyli koled polskich ciąg dalszy

„NARODZIŁA NAM SIĘ DOBROC W SAMYM SERCU BIEDY...” — Tak brzmi początek jednej z koled. Są pierwsze słowa tego początku wiersza w tytule płyty i kasety z nagraniem czerstawa nowych koled i pastorałków polskich. Muzyczno-poetycki rarytas. Już same nazwiska twórców i odtwórców — obiecują. Ba, dają gwarancję przeżyć unoszących nas w nastroju świątecznego wyciszenia w stronę głębszej zadumy, refleksji, zauroczenia.

Nie mamy na to czasu w rwetesie codzienności. I tak niewiele w szarości umykających dni — skojarzeń z DOBROCIA. Aż tu nagle — dopada nas kilka taktów koledowej melodii i — wszystko wokół zdaje się łagodnieć.

„WSRÓD NOCNEJ CISZY...” Nie! Nie tylko w porze śpiewania koled i staropolskich pastorałków, tak mocno związanych z narodową tradycją, z ludowym obyczajem, ze świętem najbardziej rodzinnym i serdecznym ciepłym, nie tylko w tych zimowych dniach, ale i w każdym innym czasie tęsknimy za DOBROCIA DRUGIEGO CZŁOWIEKA. Możemy się do tego pragnienia nie przynawać, nie zauważać albo i wręcz je tłumaczyć. Ale ono jest w nas! Niekiedy kieruje naszym instynk-

tem. Działa z siłą nieomal magiczną — gdy ku sobie przywołujemy kogoś swoją dobrocią, gdy podajemy się do pomocy innym. Wreszcie — gdy wspólnie, wspierani zwielokrotnionym pragnieniem, możemy osiągnąć jakże wiele. Nawet pokonać niejedno zło!

Wystarczy moment skupienia a przykłady nasuną się same. Prosto z życia — własnego i otaczającego nas ludzi.

— ★ —

Bywa tak i wśród twórców. Dzieła wzbogacają dorobek indywidualny każdego z nich. Są jednak szczególne momenty, rodzące pragnienie zjednoczenia wysiłku i stworzenia czegoś na chwałę wspólną. Ale i z dedykacją: Dla wszystkich.

Pora na ujawnienie nazwisk twórców, którzy — ja-



Proponowano, aby poszedł na urlop wypoczynkowy. Minie czas – wróci. – Urlop wychowawczy. Nic z tego. To wegetacja. Żyje pełną parą.

Najpierw odbywa się odczynianie, dziwne biegi i zabiegi wokół gościa, potem popisy, aż – w końcu mamy coś na kształt pełnego porozumienia, które wyraża się pomocą w... odwracaniu kartek reporterskiego notosu. Pracuję szybko, bynajmniej nie z powodu natoku słów, które padają z rąk i od niechęci, ale raczej dlatego, że KAMIL jest mocno niecierpliwy. Chciałby te kartki przewracać nie w tempie pracy żurnalisty, lecz w poczuciu wielkiej swojej misji. Ale cóż, Kamil ma 4 lata, kilka szczerb w uzębieniu, płową czuprynę.

Dominik filozofuje gęsto, co w końcu nie dziwi, gdy się patrzy z wyżyn jego 9 lat, stażu szkolnego i... co tu dużo gadać – pozycji najstarszego w rodzinie.

Co innego Magda – nieco stremowiona, na wyczytanie braci spogląda ze zrozumieniem. Można nawet założyć, że jako jedyna w domu kobieta ma prawo pogdywać, trochę się pokłócić, zwłaszcza, że również swoje wie, bo w żerówce już była, teraz zalicza pierwszą klasę...

Co chwila wybucha jednak lekka wrzawa, bo Kamil oto za ćwiczenia karate się wzięw, niebezpiecznie tracił improwizowany świecznik. Światła chwilowo nie ma. „Chwila” powtarza się tu, na Dziesięcinach, co dzień od miesięcy.

Liryzm zaczyna się ta opowieść, ale na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, jak się za nią brać. Mam pisać o zolnierz, do tego zawodowym, mężczyźnie prawie czterdziestoltnim, w którym nie powinno się szukać powodów do rozkłamania. Złazszca, że on sam w sobie takich stanów nie znajduje. Zwykle życie. W sumie czuję się przez dłuższy czas jak ów kolega, który tylko dlatego nie złożył wizyty panu Andrzejowi, że – tłumaczył nie bardzo wiedział co powiedzieć po przyjściu do domu. Tak jest od półtora roku.

Inni – mówi gospodarz – uważają, że spełnia dobry uczynek, gdy przynosią dzieciom czekoladkę. A tu mają wszystko, no – może trochę ciepła trzeba.

Oj, będziecie w nocy ślikać, jak nie odepdziecie od ognia – słyszę z boku. Po chwili jest mowa o przygotowanej już kochli, a na co Dominik wykrzykuje, że ta jest fajnym kucharzem i już trójki nie ma. Pobiegła do kuchni, zabierając zresztą świecę i znacząc szlak ucieczki zastygającymi na dywanie kroplami stearyny.

Roszkiewiczowie ścignęli do Białegostoku kilkanaście lat temu, głównie w poszukiwaniu zdrowia. Potem rodzili się dzieciaki.

Służba wojskowa. Codziennosc pomieszana z poligonami, zmudna harówka nad wykresami i chwilę odpoczynku. Tak zeszło już 20 lat w mundurze. Swoje ambicje zawodowe pan Andrzej charakteryzuje dość lakonicznie:

— Robię tak, żeby nikt po mnie nie powtarzał roboty. Pilnuję się, chociaż tak naprawdę, szumne życie nigdy mnie nie ciągnęło.

Bezczynności nie znosi, a każde działanie – twierdzi – odpręża go. O odpowiedzialności mówi:

ZANIM ZASIADZIESZ PRZY STOLE Zbawczy aromat

W Pekinśkim Instytucie Współczesnej Medycyny Chińskiej opracowano recepturę aromatycznego środka, przeznaczonego do walki z paleniem. Osobiście „antynikotynowy” ekstrakt uzyskuje się z substancji, które zawarte są w 36 gatunkach roślin leczniczych.

Przeprowadzone eksperymenty wykazują, że skutecz-

Kawa krzepi

Kolejne dwie grupy badaczy w Stanach Zjednoczonych doszły do wniosku, że picie kawy (nie więcej niż 5 filiżanek dziennie) nie zwiększa w istotny sposób ryzyka chorób sercowych. W poprzednich badaniach najwyraźniej w zbyt małym stopniu wzięto pod uwagę działanie innych czynników, a przede wszystkim palenie papierosów.

Autorzy nowych badań zwr-

Żyć jak koń

Steven Littlejohn jest znanym w Wielkiej Brytanii weterynarzem. Specjalizuje się w leczeniu koni i osiągnął w tym wiele sukcesów.

Jego zdaniem, wielu ludziom nie zaszkodziłoby wziąć przykład z koni. Swą teorię uzasadnia następująco. Choroby

Tylko mi nie uśnij

W Wielkiej Brytanii opatentowano okulary z budzikami, dla kierowców i operatorów maszyn. Nadają one sygnał ostrzegawczy przy zamknięciu powiek i chronią przed groźną w skutkach drzemką.

W oprawie okularów wmontowane są dwa fotodiody skierowane na powiekę i gałkę oczną. Urządzenie elektroniczne porównuje natężenie odbijanego światła, które jest w tym przypadku różne. Jeżeli jednak delikatnie zamknie oczy, prądy wyrównują się i system podnosi alarm. Krótkotrwałe mruganie powiekami nie włącza budzika, gdyż układ działa z opóźnieniem. Nie jest to jedyny przy-

ryfikowali wyniki eksperymentu przeprowadzonego przed dwoma laty na Uniwersytecie Harvardzkim. Stwierdzono wówczas, że a-matorzy kawy, wypijający po 5 filiżanek dziennie, ryzykują chorobę serca trzy razy częściej niż osoby nie pijące jej. Okazało się, że większość badanych była nałogowymi palaczami bądź faworyzowała posiłki o zwiększonej kaloryczności.

Drzemka podczas kierowania nawa państwową mniej jest mimo wszystko niebezpieczna dla otoczenia niż za kierownicą samochodu.

(KAR)

BEZ EGZALTACJI

by się wyrzucić na śmietnik fakty, zdarzenia, myśli, wspomnienia. Te cholerne szczegóły, z których zostaje tylko osad.

— Nauczyłem się – słyszę – jednego: oddzielić pracę od domu i domu od pracy. Do piętnastej nie myślę o domu, potem o służbie. Nie rozumiem ludzi, którzy pozwalają sobie w godzinach pracy wyskakiwać gdzieś tam...

Jaw się nam więc pan Andrzej jako człowiek logiczny i uparty. A może u źródła tkwi zakodowany w dzieciństwie przez ojca – rzemieślnika (dokładnie – szewca), obyczaj – „by nikt po mnie nie poprawiał”?

Lecz jeśli język jest obrazem myśli, to chorąży Roszkiewicz jest żołnierzem w swej funkcji podstawowej, bo tak puentuje swój dorobek życiowy:

— Myślę, że spełniłem zadanie. Może nie w maksymalnym stopniu, ale przecież i nie w optymalnych warunkach.

Faktycznie – do optimum daleko, bo rzeczywistość jest taka, iż Kamil właśnie rozpoczął remontowywanie strażackiej cysterny i okazał się w destrukcji lepszy niż w konstrukcji. Niestety.

Ojciec musi wszystko posklejać, tak jak czyni to od przeszło półtora roku. Dominik na ogół wie co i na kiedy ma wykonać, ale Magda potrafi zameldować późnym wieczorem w czwartek, że na piątek rano trzeba coś tam zrobić lub przynieść na zajęcia praktyczne.

— Właściwie – dowodzi ojciec – to nie takie trudne, ale kierownicza przedszkola

bała się przyjać dzieci. Dłuższy czas nie było wiadomo o co chodzi, aż w końcu wyszło na jaw, że...

— Obawiała się zaniebanych dzieci, nie-dopatrzonych. Kobiety nie wierzą, gdy się dowiadują – zwłaszcza one.

— Największe zrozumienie mam u matek wielodzietnych, a te, które mają singla (znaczy – jednaka) nie rozumieją ni w ząb. Mówią: wariat. Sam zresztą z początku uważałem, że bardziej mi to będzie doskwierało. Ale powiedziałam sobie, że muszę zrobić to sam. I do końca.

W tym miejscu słyszę krótką beznamiętną relację, że „handel mamy nie najlepszy” po powrocie z pracy trzeba te dwie godziny postać w kolejkach. Nie jest to jednak chyba tematem dla prawdziwych mężczyzn, bo pan Andrzej milnie i tej sprawy więcej nie porusza, pozostawia ją w takim właśnie nie rozwiniętym stadium.

Zrezygnował ze spotkań koleżeńskich. Nie żeby tak całkiem. Jeśli wpadną koledzy – nie ma sprawy, ale pójsz już gdzieśkolwiek – gorzej. Inna rzecz, że jakoś mniej od tego czasu bliższych znajomych.

— Koledzy mówią – my ci, Andrzej, współczujemy. A ja myślę sobie: czego mi współczują? Niech mi zadrzoczą!

Gospodarz spod zawiadającego wasa co raz błyska lekką ironią wobec innych, którzy oczywistości pojmują najtrudniej. Świat wszak nie jest czarny ani biały. Jest normalny. Co najwyżej, trzeba go trochę obśmiać, pozartować. Wtedy staje się łatwiej oswojalny.

Zartujemy zatem, Magda i Dominik strzygą uszami, po czym przegłosowują nas. Zgłaszają chęć opowiadania kawałów takich oł, na dziecięcą miarę. Magda na przykład rezerwuje sobie opowieść ironiczno-satyryczną z morałem na temat kolorowych majtek... W końcu jednak pada kategorięne żądanie:

— Tata, powiedz kawał!

Kamil nie jest w to włączany, ma bowiem słabszy punkt. Otóż nie wymawia jeszcze „r”, chwilowo zastępuje używa „j”. Nie odzywa się więc na razie, bo a nuż tata – wojał i sarmata zaproponuje: — Kamilku, powiedz: hurra, wojna!

I co wtedy?

Ratując swą sytuację, chłopiec przynosi rysunki. Własne i ojca. Te ostatnie jakby kreską Uniechowskiego czynione, ale całkiem panaandrzejewo to dzieła. Jeszcze kilka dni i zawisną na ścianie. Talent wykrytałony w czasach internackich, potem w wojsku, teraz w wolnych chwilach doskonalony z użyciem wiedzy tkwiącej w książkach. Czy jest na to czas?

— Żle powiedziałem, że z czegoś tam musiałem zrezygnować. Pewnie, że teatr i kino na razie nie dla mnie. Ale książki – tak. Tego sobie nie odmawiam, zwłaszcza historii. Czytam wszystko, co jest napisane dobrym literackim językiem. Wojenne też, ale... jeśli kończą się w XIX wieku. Dalej już nie.

— Widzi pan. Historia to jest morze. Jak się nie ogarnie, można dopowiedzieć.

Czyta dopiero wieczorem, bo – jak sam mawia – potrafią te maluchy zaleźć za skórę. Trzeba do nich sporo psychologii. Na przykład Magda to przecież mała kobieta.

— Zwykle nawet wiem co należałoby powiedzieć, ale łapię się, że nie zawsze wiem jak. Podejrzewam, że to będzie narastać i nawet się trochę martwię. Kim będą – nie wiem. Byłoby byli rzetelnymi ludźmi.

Zgodził się na rozmowę z dziennikarzem bez specjalnych ceregieli i dowodzi absolutnie zwyczajności swego losu, aczkolwiek okoliczności zdecydowanie przeczą, iżby miał być to los typowy. Typowo było jeszcze półtora roku temu, kiedy byli wszyscy razem.

Dzisiaj gospodarz jednak tłumaczy, że jest szczęśliwym człowiekiem. Bo robi to, co sobie zamierzył. Na przykład będzie zaraz zupa grzybowa.

— Tak jak mama robiła – cieszy się Magda.

Raz tylko brzmi to słowo, wypowiedziane bez szczególnych podtekstów, najwyżej pod słońcem, przez złośliwość siedmiolatki. Po chwili mała opowiada, że siedzimy, w pokójku mamy, tutaj będzie stała choinka, tutaj przychodzą na telewizję, bo, spać przy telewizorze – niezdrowo!

Było to półtora roku temu, kiedy zmarła żona. Powikłania pooperacyjne. Wtedy zostali sami i nie-sami. Proponowano, aby poszedł na urlop wychowawczy. Minie czas – wróci. Fach ma opanowany świetnie.

— Urlop wychowawczy? Nic z tego. To wegetacja! A ja żyję pełną parą, ja nie wegetuję.

Ciągłość, trwanie, mimo zmienionych warunków. Ma trzydzieści osiem lat i nie szuka – mawia – kobiet. One mogą być. Wielki problem.

— Szukam matki dla NICH.

ONE już śpią. Pozostawili lekki przedwieczorny bałaganik ani mniejszy, ani większy niż akurat trzeba. Zastanawiamy się w ten czas przed północą z panem Andrzejem, czy to jest normalna sytuacja. Wychodzi, że tak. Pytam o chwilę rozszewnienia, kiedy ma się ochotę zakląć na cholerny świat.

— Rzadko. Czy to coś zmien? Proszę pana, nie lubię romansów. Żadnej egzaltacji! Ani w książkach, ani w życiu. Te smuteczki niczego nie zostawiają mądrego. Zapyta ktoś – czy to tak miało być z życiem mej rodziny? Czy to ważne, skoro jest jak jest. A poza tym nie uda się żyć do tyłu.

Głośnie przymierzam metryczki: stalowy facel, wzorowy ojciec, fajny gość, bystrzak, pistolet. Wszystko pasuje. Ale gospodarz kręci nosem.

— To nie tak. Wszystko jest bardziej proste – ja sobie tak kalkuluję, żeby nie było co.

ZBIGNIEW KRZYWICKI

Jest jeszcze jedna kategoria spraw, dotycząca dzieci małżeńskich, w której toczą się albo sprawy o zaprzeczenie ojcstwa męża, albo uznanie ojcostwa tego „drugiego”.

— Odpowiedź na pozew. Twierdzenia powódki, zawarte w uzasadnieniu pozwu w całości niemal mijają się z prawdą lub są wręcz kłamliwe. Niegodne z prawdą jest to, że odbywałismy stosunki. Chociaż powódka spowodowała zbliżenie, jednak do stosunku płciowego nie doszło, ponieważ wystąpił u mnie brak zdolności do obcowania cielesnego, spowodowany tym, że nie mam żadnych doświadczeń w stosunkach pozamałżeńskich, że sytuacja spowodowana przez powódkę wywołała u mnie negatywną reakcję psychiczną. Powódka nie działała na mnie pobudzająco, a jej zachowanie nader śmiałe, a nawet perwersyjne, moją negatywną reakcję jeszcze pogłębiała.

Pozwani na salę sądową zachowują się różnie. Młodzi często „ląd w zaparte”. Nie przyznają się do niczego i już. Niezależnie od zeznań świadków, od wyników badań. Starsi panowie zasłaniają się niepielnością, impotencją, nerwi-

TATA IDZIE „W ZAPARTE”

cam seksualnymi. Nagminne jest wskazywanie na możliwość poczęcia dziecka przez innego mężczyznę.

Takie prawo do obrony nazywa się „plurium concubentium”. W praktyce może ono jednak objawić się w ten sposób, że pozwany przyprowadza ze sobą do sądu kilku kolegów – świadków, którzy zeznają, że oni z powódką też... I – niestety – między bajki należy włożyć opowieści, jak to Wysoki Sąd w podobnej sytuacji przysądził alimenty siedmiu panom, bo się przyznali, że wszyscy oni mogliby być tatami.

— Ale bywa, że przysięgnie do muru zeznaniami świadków, płacząc dechewczy i poważa sądu, pozwani przyznają się do ojcstwa i od razu składają oświadczenia o uznaniu dziecka. Happy end? Nie wiadomo. Alimenty raczej zapewnione, ale małżeństwo?

— Pozew. Zwracam się z prośbą o przyznanie ojcstwa memu dziecku. Ojcem jest B.C., poznałam go u koleżanki i pojechałismy we czworójkę na wieś. Następnie umówiliśmy się z B. koło dworca PKP. Spotkałismy się o umówionej godzinie w umówionym miejscu. B. przyjechał samochodem, zaproponował mi przejazd. Nie byłam zorientowana, gdzie mnie chce zawieźć i nie zdawałam sobie sprawy, że może nastąpić coś złego. Po niedługim czasie skręcił w las, zatrzymał samochód i zaproponował mi stosunek płciowy. Byłam bardzo zaskoczona i nie wiedziałam co mam zrobić. Po dłuższej namowie w końcu uległam. Było to moje pierwsze przeżycie seksualne. Po stosunku i przed B. proponował mi małżeństwo i mówił, że mnie kocha i myśli poważnie. Umówiliśmy się następnego dnia. Spotkałismy się jeszcze kilkakrotnie i wszystko było w najlepszym porządku do momentu, gdy dowiedział się, że jestem w ciąży.

Niezależnie jednak od tego co piszą i mówią powódki, pozwani oraz świadkowie, są w pierwszym rzędzie opiera się na wynikach badań specjalistycznych. Kieruje więc matkę, dziecko i domniemanego ojca do Zakładu Medycyny Sądowej na pobranie krwi.

Pierwsze, rutynowe, jest badanie grupowe. Człowiek jest nosicielem pewnych cech w składnikach krwi, stałych i



PAMIĘTAJMY...



...O PUPILACH



Fot. A. Chomicz

przez całe życie niezmiennych. W populacjach każda z tych cech występuje z różną częstością. Porównuje się je u matki, dziecka i domniemanego ojca, opierając na znanych prawach dziedziczenia.

Prof. dr Maria Byrdy wyjaśnia, że w zaranu tych badań, pod koniec lat dwudziestych, prof. Olbricht w Krakowie oznaczał tylko dwa układy grupowe, co dawało niską teoretyczną szansę wykluczenia ojcostwa, wynoszącą 12-13 proc. W ciągu miesiąca wykonywano tam do dwóch badań. W następnych latach, a zwłaszcza w okresie powojennym, nastąpił znaczny postęp i poznano wiele nowych, genetycznie uwarunkowanych cech grupowych, co znacznie zwiększyło teoretyczną szansę wykluczenia ojcostwa niesłusznie pozwanego mężczyzny. Wynosi ona obecnie, przy zastosowaniu rutynowego zakresu badań (jest to zakres badań pierwszego stopnia) około 80 proc.

Oznacza to, że gdyby matka dziecka wskazała na stu przypadkach mężczyzn jako biologicznych ojców, to 80 spośród nich można by wykluczyć. W razie rozszerzenia badań o kilka jeszcze dalszych układów, nie oznaczanych rutynowo, teoretyczna szansa wzrosłaby o kilka procent. W pewnych, wybranych przypadkach, można jeszcze badać cechy układu HLA (są to badania drugiego stopnia) i w zależności od liczby antygenów, które w tym układzie bada się w Polsce, teoretyczna szansa wykluczenia wzrasta jeszcze o kilka procent.

W praktyce ilość wyników wykluczających na podstawie badań pierwszego stopnia mieści się w granicach 24-25 proc., co znacznie odbiega od teoretycznej szansy, bo też nie wszystkie matki błędnie poznały potencjalnych ojców. W niektórych sprawach istnieje potrzeba badania rodzin matki względnie pozwanego i dopiero na tej podstawie drodze można przyjąć wynik wykluczający ojcostwo. Wnioskuje to Zakład Medycyny Sądowej.

Procesy o ustalenie ojcostwa ciągną się bardzo długo. Nie z winy sądu. Badania antropologiczne można wykonać dopiero wówczas, gdy dziecko ukończy trzy lata. Badania układu HLA w Białymstoku nie wykonuje się, a w innych ośrodkach czeka się w długich kolejkach. Koszty ekspertów i orzeczeń są też odpowiednio duże, sięgają kilkudziesięciu tysięcy złotych, a obciążają wnioskodawcę. Chyba żeby okazało się, że go nieśluszenie posądzono...

Dla pozwanego sprawa kończy się z momentem uzyskania wyników badania: „wyklucza się ojcostwo”. A co z dzieckiem? Kto jest jego tata? Otóż matka może wskazać koleżanę domniemanego ojca (choćby któregoś ze świadków) i wnieść do sądu nowy pozew. Ustawodawstwa innych krajów, na przykład NRD, pozwalają od razu kierować na badania wszystkich mężczyzn, z którymi w okresie koncepcyjnym miała stosunki. Tymczasem u nas podaje się jednego mężczyznę, drugiego, trzeciego... Aż do skutku.

Fotoczenie mówił się o wybieraniu bogatego kandydata do planowania alimentów. Mężczyźni czują się zagrożeni. Jak jest naprawdę? W dobrej wierze przyjmuję się wersję powódki, że ta nie ma pewności, kto jest ojcem. Słusznie, niestety.

Prof. Maria Byrdy pamięta dwa wypadki „zemsty” zawiedzionej kobiety. Otóż pewna paniienka wniosła do sądu sprawę o ustalenie ojcostwa przeciwko byłemu narzeczonemu. Pozwanemu dziwny wydał się sam fakt narodzin dziecka, zaczął podejrzewać, że powódka wypożyczyła synka od siostry. Na rozprawie dziecko było koronnym dowodem. Gdy sąd zarządził doprowadzenie siostry, po jej wejściu na salę małżeństwo zawołało radośnie: mama!

Sprawa „się rypla”. Druga była podobna, z tą różnicą, iż wyrodam siostrzycą wykradła niemowlę, aby pójść z nim na badanie krwi. Oba zdarzenia zakończyły się rozprawą karną.

Spraw o ustalenie ojcostwa nie jest wiele. Ocenia się, że w Białymstoku i podmiejskich gminach około stu rocznie. Ale w sądzie nikt ich nie lubi.

W tych sprawach nie ma wygranych – mówi przewodnicząca V Wydziału Rodzinnego i Nietletnich Sadu Rejonowego w Białymstoku – Irena Ejsmont-Wisłowa. Wszyscy są przegrani, a najbardziej pokrzywdzone jest dziecko.

Jest to bardzo głęboka ocena problemu. Kobieta zawsze płaci: wygnaniem z domu, samotnością, utratą opinii, zdrowia, obowiązkami, nieraz ponad jej siły, na całe życie. Mężczyzna, zwłaszcza ten wybierany, chwył trafiał, albo z premedytacją, miewa perturbacje w domu i środowisku. A dziecko? Dziecko w chwili poczęcia jest już półsierotą.

ANIELA ŁABANOW



W barakach tego dnia było ciszej niż zwykle. Nawet apel był krótszy i mróz jakby mniej dokuczał. Zbili się w stadko.

Kamila wychyliła spod derki swoją rudą głowę i z przyzwyczajenia zrobiła taki ruch jakby chciała odgarnąć od oczu niesforne opadające loki. Robiła to machinalnie. Oczywiście, nie było loków, tylko rudy odrost włosów.

U nas w Giverny — mówiła Kamila, a jej po-
długie i trochę skóne
oczy nabierały koloru wody
w jeziorze — u nas w Jase-
kach brała udział cała mło-
dzież. W ostatnich przedwo-
jennych Jasekach ja byłam
Matką Boską. Suknia białe-
na, z wesela mojej kuzynki,
na głowie delikatny wóal. He-
rodem był Marcel, mówił o
takich strasznych rzeczach i
wszyscy kulili się ze strachu.
A ja słyszałam tylko jego
melodyjny głos, widziałam
jego usta, oczy, a kiedy He-
rod wyciągnął do mnie dra-
pejnym gestem ręce, ja po-
winnam odsuwać się z odra-
zą, ale tak naprawdę, to

o biedzie. Dzieleno między
siebie rolę. Wszystko jak na-
leży, jak we wspólnie ułożo-
nym scenariuszu — król
Herod, diabeł, trzej królowie
monarchowie z mirrą, złotem
i kadzidłem. Tylko śmiertel-
ni zabrakło. Żadna z kobiet nie
chciała wystąpić w tej roli.
A więc śmierć wykreślono i
do tego tematu już nie wraca-
no.

— W moim miasteczku ta-
ki był zwyczaj, że chodzą-
co z gwiazdą — przypomina-
ła się Bronka. — Matka, bywało,
wyszurkuje podogę do białe-
ści i tylko czekała aż pier-
wsza gwiazda zaświeci, a tu
od pola idzie król Herod z
diabeł i ze śmiercią. Ojciec,
co ja mówię, z jaką śmiercią?

— Tfu, tfu — splunęła Da-
ria przez ramie — odczaro-
wać. Co dziś na was napadło
z tą, no jak tam...?

Zupełnie nieoczekiwanie
rozpoczął się spór o to, kto

mały komfort posiadania
czegoś ładnego. Szal kupiła
od jakiejś kobiety z innego
baraku za trzy porcje chleba.
Sylvia nie ustępowała, a
Kamila była uparta. Pod-
niósł się gwar. Kobiety mó-
wiły jedna przez drugą,
najpierw o Jasekach i jakie
komu rolę wyznaczyć. A po-
tem już nie chodziło ani o
Kamila, ani o Syliwie. Wyrosł
nagle tajny miściaczek żal
sponiewieranego życia. Prze-
klinano lub pokornie uspra-
wiali swą bierność, która
pozwalała im na uchi-
wienie waleń nic nadziei,
ale jednak to się kiedyś musi
skończyć. Nie było tu słucha-
czy. Każda mówiła dla siebie.
Tylko jedna Daria zdobyła
się na opanowanie — tej nies-
podziewaniej, ogólnej historii.
Wyskoczyła na środek baru-
ku i wznosząc do góry chude
ręce krzyknęła: — Tisznaj! A
kiedy zaległo milczenie, po-

przebaczyć. Kamilo wybac-
ził, że nagadala tyle złych
rzeczy. Człowiek nie ma już
sił kontrolować, tego co mówi
ani tego co robi. Wybaczyć mi
Kamilo?

— Tak — odpowiedziała
spokojnie Kamila i wier-
chem dloni otarła policzki.
Była chyba myślna gdzieś
nad urwistym brzegiem Sek-
wany. Sylvia przytuliła — ja
do siebie. A ona powiedzia-
ła tak po prostu, jakby nie
się przedtem nie stało —
Weź mój szal Sylwio. Be-
dziesz w nim pięknie wyglą-
dała.

Nie było co czekać na
pierwszą gwiazdkę. Niebo wi-
siało nad obozem pochmur-
ne, jasnopopielate. Śnieg
wciąż padał leniwie i sennie.
W baraku rozpoczęła Jaseka.
Był trzej królowie, Herod i
diabeł. Sylvia w białym
szalu, który miękko otulał jej
twarz, wznosiła nabożnie oczy
ku górze i nuciła — „Lulaj
że Jezuniu, lulaj że lulaj”. I
wszystkie śpiewały cichutko,
lecz w śpiewie tym nie było
radości koledy. Kołysały się
wolno w jedną i drugą stro-
nę, a Sylvia przypatrywała w
takt melodii drewnianym
chodakiem.

— Matka Boska w choda-
kach. O, jak to jest — po-
wiedziała Daria.

A gdy Jaseka dobiegała już
końca, z kątów rozległa się
koleda. Głosy niosły się da-
leko w zaśmiejoną ciszę.

— Pójde do baru C. U
nich Jasek nie przygotował.
Chętnie tam przyjmą Matkę
Boską — zawołała nagle Syl-
wia i otworzyła cicho drzwi,
przez które wpadło do baru-
ku kilka płatków śniegu.

Kobiety siedziały zamysło-
ne. Z kątów wciąż dobie-
gały dźwięki pianina i słowa
koledy. Gdzieś nagle otwo-
rzyły się z łoskotem drzwi i
czyszczyli kroki zaskrzy-
piały na śniegu. Po chwili
usłyszały odgłos strażu. To
pewnie na wiat — myśla-
ły kobiety we wszystkich ba-
rakach. A kiedy wszystko u-
ciszało, Bronka pierwsza uchy-
liła drzwi. Za nią stały inne
kobiety. Onieśmiały, nie do-
wierające temu co ujrzały.
O parę kroków od baru-
ku, leżała Sylvia. Po białym
szalu spływała na śnieg czer-
wona surowa.

Z kątów wciąż rozlegała
się melodia koledy „Cicha
no, święta noc”, a wawisze:
„Stille Nacht, heilige Nacht...”

— W taki dzień musisz mi

ANNA ZAREMBINA



Płotki i anegdoki dawnego Białegosto-
ku, które przekazuje mi pan Bolesław
podczas każdego naszego spotkania,
starczą zwykle nie na jeden ale na kilka
felietonów. Tak było i tym razem. Dziś za-
tem dalszy ciąg ciekawostek z 1937 roku —
czyli sprzed lat pięćdziesięciu.

„Serce BOSO zamknięte na kłódkę” pisała
prasa. Chodziło oczywiście o wież obserw-
acyjną Białostockiej Ochotniczej Straży Og-
niowej nieczynną przez trzy ostatnie miesia-
ce roku w Ratuszu przy Rynku Kościuski.

„Zamknęciem wieży — pisał pan Iwanicki
w swojej „Kamie” — utracili strażacy BOSO
wszelką łączność. O braku tej łączności
świadczą ostatnie pożary, na których ochot-
ników z BOSO była nieznaczna garstka.”

Jak posterunkowy Byszewski słupy na Surazkiej uratował

A pożary były różne. Dość często także
umyślnie podpalenia. W grudniu tamtego ro-
ku zakończono śledztwo wobec Jakuba Bere-
li Perliśa oraz Tani i Borysa Kotokom, któ-
rzy nakłonili niewąwnionego sprawcę, aby
wieczorem, 8 sierpnia 1937 roku podpalił
partenerowy dom przy ulicy Polnej 17 (dziś
Warzyńskiego), w którym cała trójka zamiesz-
kiwała. Postawiono im zarzut, że w celu
osiągnięcia korzyści majątkowych ubezpie-
czyli sprzęt domowy wartości 500 złotych
na sumę aż 10 tysięcy złotych w Towarzyst-
wie „Orzeł”. Pożar spowodował, aby wyłu-
dzić odszkodowanie asekuracyjne.

„Lekko przyszy, lekko poszy” — mówiło
się o pieniądzech łatwo zdobytych i bezzmyś-
lnie wydanych. Wydawali je kanciarze, ale
także ludzie, którzy zdobywali je ciężko i to
w dosłownym znaczeniu. Na przykład traga-
rze przepijający zarobek.

Niekoronowanym królem białostockich tra-
garzy był znany osilek Izrael Fiszer, zamiesz-
kały przy ulicy Zamkowej 12 (obecnie sto-
ją tam budynki Szkoły Podstawowej nr 9) nom
de guerre „Czarna Ręka”. On to któregoś
grudniowego wieczora wyszedł z piwiarni
uraz z dwoma kolegami po fachu w stanie,
jak dziś powiadamy, „uskazującym na spoży-
cie alkoholu w ilości nadmiernej”. Na rogu
Surazkiej i Ordynackiej (rejon obecnej ulicy
M.C. Skłodowskiej i domu handlowego „Central”)
obok domu nr 29 ich spór o jakąś
blachostkę przeistoczył się w walkę na pięści.

„Czarna Ręka” — choć miał dwóch prze-
ciwko sobie w kilka minut doprowadził do
tego, że obaj po ciociach swego „króla” wyl-
czyli z ulicy.

Na tę dramatyczną scenę trafił, pełniący
dyżur w śródmieściu, posterunkowy By-
szewski. Zobaczywszy go z daleka dwaj
zmalitrowani tragarze, „dali nogę”. Na pla-
cu boju został tylko rozszczępiony „Czarna
Ręka”.

Chocąc wyładować resztę gniewu, król tra-

garzy zerwał z siebie koszulę, bo burkę i ma-
rynarkę zdjął wcześniej, opasał nią słupie-
foniczny i próbował go wyrwać.

— Odstaw się pan od tego słupa — rozka-
zał policjant Byszewski.

— Pan na mnie nie zwracaj uwagi — ta-
godził „Czarna Ręka” — ja go tylko wyciąg-
nę z ziemi i pójdę do domu.

Posterunkowy straciwszy cierpliwość, z po-
mocą kilku wezwanych gapiów oderwał si-
laczka od słupa. Miał go już prowadzić do
komisariatu, kiedy zjawił się delegat biało-
stoczeki tragarzy z poleceniem „że będzie
spokój na ulicy”. Pan Byszewski z powagą
przyjął do wiadomości „oświadczenie korp-
oracji” i zwolnił „Czarną Rękę” pod warun-
kiem, że uda się on natychmiast do domu.
W ten to sposób ocalały słup telefoniczny
na ulicy Surazkiej, obecnie Wesolowskiej.

Taki to był molojce — kończył anegdotę
pan Bolesław — z tego Surła nom de guerre
„Czarna Ręka”.

Posterunkowy Byszewski znany był dobrze
mieszkańcom ulic i uliczek w śródmieściu.
Ale był w Białymstoku policjant wyższej
rangi, którego nazwisko mieszkających naszego
rodu poznał z zamieszczanych w prasie
sprawozdań sądowych. Przed Sądem Okręgo-
wym stanął bowiem Jan D., który służąc w

policji państwowej w dniu 1 września 1937

roku zawiadomił telefonicznie swojego prze-
łożonego, iż z powodu choroby nie zgłosi się
na służbę. Tego samego dnia wykupił jednak
bilet kolejowy do Paryża (proszę się nie
uśmiechać, można było tego dokonać w ka-
sie na naszym dworcu) i następnego dnia
rankiem wyruszył z Białegostoku.

Dwa dni później funkcjonariusze granicz-
nego komisariatu w Zbąszyniu zatrzymali go
w chwili, kiedy usiłował przekroczyć granicę
do Niemiec. Jan D. tłumaczył się, że ko-
rzystając z urlopu chciał tylko odwiedzić
swojego przyjaciela, niejakiego Witkowskiego,
zamieszkałego w jednej z przygranicznych wsi.
Kiedy jednak ujawniono, że we wskazanej
wsii żaden Witkowski nie mieszka, biało-
stoczeki policjant przyznał się, że samowolnie
opuszczył służbę, lecz w sprawie swojej tajem-
nicznej podróży składał bardzo ważne zezna-
nia. Rozprawa sądowa miała tajemniczo wy-
jść. Powody wyjazdu były pewnie waż-
niejsze niż turystyczne, bo nie podano ich
do publicznej wiadomości.

Na a z poważniejszych spraw tamtego
przedwojennego grudnia warto wymienić, że
w urzędzie pocztowym oczekiwano zarejest-
rowania 5-tygodniowego radiodiodu. Urząd
Wojevodzki zatwierdził statut żydowskiego
zrzeszenia domów noclegowych i opieki nad
bezdomnymi — „Hachnosas Orchim” z sie-
dziłą przy ul. Brozowej 2 (w tym miejscu,
gdzie dziś kino-teatr „Forum”).

Założycielami stowarzyszenia byli: wie-
lezaszujący dla Białegostoku rabin dr G. Ro-
zenman, S. Wojnarach, M. Batkowski, J. Wo-
roszylski, M. Chmielowiec oraz S. Puniński.

Wszyscy mieszkańcy życzyli sobie wesołych
świąt i wiele szczęścia w nowym roku.

To samo życzy Czytelnikom „Kroniki z
przedmieścia” jej autor.

EUGENIUSZ
HRYNIEWSKI

CLIFF RICHARD: Będę śpiewać

— Nie wydaje się panu,
że wśród pańskich słuch-
aczy większość stanowi
pokolenie 40-latków?

To znaczy, że moja
publiczność jest nadal w
moim wieku. Skoro już
prawie 30 lat przetrwałem
na estradzie, to ci, którzy
słuchają moich utworów,
dorastali razem ze mną.
Jest to pokolenie rock and
rolla.

— Pańska muzyka róż-
ni się bardzo od tej, którą
wykonywał pan u pro-
gu lat sześćdziesiątych?

— Rock przez te lata
wydorósł, więc trzeba to
robić inaczej.

— Pańskie utwory są z
reguły bardzo pogodne?

— Uważam się za czło-
wieka szczęśliwego, więc
taką formą wypowiedzi na
scenie jest dla mnie natu-
ralna. Ale, oczywiście, to
przecież jest sztuka, więc
gdy trzeba być smutnym,
to jestem taki.

— Czy chciałby pan
znów kiedyś wystąpić z
członkami dawnej grupy
„The Shadows”?

— Na pewno stanie się
to za rok, gdy obchodzą
będziemy 30-lecie naszego
debiutu.

— Co Pan sądzi o po-
pularyzacji muzyki przy
pomocy video?

— To w tej chwili ko-
nieczność. Jest to już swo-
ista dziedzina sztuki, w
której bardzo wiele zależy
od reżysera.

— Ma Pan jakieś hoby?

— Niczego nie zbieram,
za to gram często w teni-
sa, jeśli mogę, to codzien-
nie chodzę na spacer z do-
giem, którego otrzymałem
od fanów.

— Jakie ma Pan plany
na przyszłość?

— Dopóki będę mógł, to
będę śpiewać.

Notował:

JACEK LYSZCZYNA



Ostrzega już na wstę-
pie: — Bardzo niechętnie
przystaje na pisanie
o mnie. Wole spokoj. Trudno
dociec ile w tym aktorskiej
kokieterii, a ile życiowej
mądrości, chociaż ta właśnie
zadaje się przeważać jako
uzasadniająca opory AN-
DRZEJA KAROLAKA: — po
prostu — żeby nie
budzić diabła

I tyle. Aktor pozostawia
mi dowolność interpret-
acji istoty diabelstwa, w
które prawdopodobnie wypo-
sazone jest w tym twarzyć (i
masek na nich) ile jest nas
wszystkich, uwikłanych w
przypadkowosć losów, stresów
i sukcesów. Jeżeli ma się za
sobą dokładnie trzydzieści lat
na scenie, nieustająco na tej
samej — co jest ewenemen-
tem na skalę krajową, to jed-
nak można by mówić przede
wszystkim o sukcesie. Ale to
znowu szatańska kwestia in-
terpretacji, bo może to wła-
śnie odwrótność życiowego
zyciostwa. Bo może nie tyl-
ko o to miało chodzić, jeden
diabeł wie...

Talia i Melpomene skute-
cznie widać czuwały nad ko-
luską Andrzeja. Pierwszy raz
podały mu rękę jeszcze w
szkole, w Jeleniej Górze. One
też wyciągnęły go, studenta
prawa, z Uniwersytetu Wro-
cławskiego, chociaż sam za-
pewne o tym nie wie i przy-
wiodły w 1957 roku w progi
Teatru Dramatycznego im. A.
Węgierki w Białymstoku. Jak
każdy przyzwyczajony terminator,
Andrzej Karolak rozpoczął
swoje sceniczne życie od sta-
tystowania, ciągnięcia kurtyny
i całego dekoracyjnego kra-
mu, aż do... „Kramu z piosen-
kami”, gdzie został obsadzo-
ny przez Barbarę Fijewską.
Między tym wszystkim był in-
spicjentem i coraz bardziej
— aktorem, co krytyka zau-
ważyła na serio w 1962 roku.
Od tej roli (Drugiego) w
Mrozkowym „Strip-tease”
przez trzy kolejne lata „do-
grywał” wystarczająco skute-
cznie, by zdać eksternistycz-
ny egzamin aktorski. To
wszystko. Z kronikarskiej ko-
nieczności. Resztę trzeba wy-
ciągać. W tej chwili gra po-
płoch z nutą niecierpliwie-
nia. Umie zagrać wszystko.

Budzenie diabła

— Nigdy nie rezygnowałem z
ról — uzasadnia. Nie da się na-
kłonić na powrót do czasów
minionych.

— Moja dewiza po trzydzie-
stu latach w teatrze jest ta-
ka: wszystko, co było wczor-
aj, jest ulotne. W tym za-
wodzie ważne jest to, co dzi-
sia. Dlatego nie rozgrzebuje
przeszłości. Zaczynał przy Ire-
nie Górskiej. Wymienia kolej-
no dyrektorów: Sawan, Zega-
lski, Witkowski, Zegałski (w
sumie — najdłużej), Aleksan-
drowicz, Andrucki, Kozłowski,
ostatnio Jakimiec. Tak jak
jest, jest dobrze. Nieliczeni lu-
dzie, dzięki którym może po-
wiedzieć, iż uwiarył w sens
aktorstwa: dyrektor Andrzej
Witkowski, reżyser Walde-
mar Smigajewicz, Maciej
Wojtyłko, Zbigniew Mich.

Ile jest gry w krytycznym
stosunku do własnej gry?

— Od pomysłu do premiery
przechodzę drogą krzyżową.
Nienawidzę tych wszystkich
ról. Czas na refleksję przy-
chodzi potem.

Za najważniejszą cechę ak-
tora uważa umiejętność kon-
centracji. Jej utrata to klęska.

Role, które sobie ceni z róż-
nych względów. Szambelan na
przykład w „Iwonie, księżni-
ce Burgunda” Gombrowi-
cza. W roli głównej wystąpi-
ła niemal debiutantka, Joan-
na Wismur. Szybko opuściła
Białystok, podobnie jak dzie-
siątki innych aktorów, ze
zmieniamy szczęściem poszu-
kujących swojego miejsca
w przybytkach Melpomeny.
Joannie powiedziało się znako-

micie. Gra m.in. w Teatrze
TV, ostatnio — w „Domu ko-
biet” Nalkowskiej. Dzięki
Joannie zagrał Karolak w te-
lewizyjnym filmie dyplomo-
wym katowickiego studenta
Tomasza Świątkowskiego. Film
nosił tytuł „Kto się boi czar-
nego wilka”. — Potem zagrał
główną rolę w „Snach i ma-
rzeniach”, debiutanckim fil-
mie Janusza Petelskiego.

Tragiczna postać Andrzeja
Busłaja w „Progu” Dudarie-
wa. — To rola, dzięki której
zdołałem wyróżnić się w To-
runiu i nagrodę wojewody
białostockiego. Przyniosła mi
wiele dobrych przeżyć.

W spektaklu „Stara kobieta
wysiaduje” wcielił się w rolę
Ślepa. Widziałam go na sce-



KRYSTYNA KONECKA

Trzeba zacząć uczyć się języków obcych, bo inaczej... kto dogada się z przyszłością?

Jedni mówią niezmiennie, że telewizja — to dobrodziejstwo XX wieku, największy sukces, szerokie okno na świat, przekaznik informacji i wiedzy, a także rozrywka dla milionów. Drudzy twierdzą uparcie, że to raczej najgorszy „złodziej czasu”, działający jak magnes i przykuwający nas do foteli codziennie przez wiele godzin.

— Do której grupy należy Pan, jako osoba urzędowo, profesjonalnie i emocjonalnie związana z tymi problemami? — pytam inż. **BOGDANA MAJĄ**, Okręgowego Inspektora PIR w Białymstoku.

— Zawsze najlepiej być zwołennikiem zasady, że prawda leży pośrodku. Każdy z nas musi tak gospodarować z reguły deficytowym czasem, aby starczyło go na wszystko. To jest przecież świadomy wybór, a nie jakiś przymus słuchania oglądania programów ciur-em, jak leca na małym, szklanym ekranie.

— A co będzie z naszą kondycją fizyczną, kiedy szerokie rzesze odbiorców ogarnie szal telewizji satelitarnej, która stwarza możliwość odbioru kilkudziesięciu programów?

— Po prostu, zostaniemy muszeni do jeszcze ostrzejszej selekcji. Będziemy wybierać to, co jest najwartościowsze, atrakcyjne i wyjątkowo pouczające.

— Wszyscy dyskutują o telewizji satelitarnej, a przede wszystkim o tym, jakie stwarza wspaniałe szanse. Ale na dobrą sprawę nie wiemy dokładnie czy jej odbiór jest możliwy w północno-wschodnim regionie Polski.

— Oczywiście, że istnieją takie warunki, ale muszą być spełnione określone wymagania techniczne. Programy, transmitowane przez satelitę w Europie, nie mogą odbierać przy pomocy zwykłych anten i samych telewizorów. Do tego konieczny jest zestaw urządzeń o specjalnej antenie parabolicznej — zainstalowanej specjalnie na dachu budynku, w którym ma być odbiór. W skład takiego zestawu wchodzi: konwerter zbudowany z częstotliwości satelitarnej w paśmie od 10,95 do 11,7 GHz (zobacz, głowica z polaryzatorami, kable koncentryczne o bardzo małej stratności i szeroki pasmo przeniesienia oraz tuner. Sygnał wychodzący z tunera jest sterowany do gniazda odbiornika normalnego odbiornika TV w systemie PAL/SECAM. Jeśli chcemy oglądać programy nie z jednego, lecz z kilku satelitów, należy zakupić również urządzenie zwane pozycjonerem, służące do zdalnego sterowania czasą anteny parabolicznej.

— Wiemy już, co jest potrzebne, by rozkoszować się telewizją satelitarną. Pozostaje więc pytanie: gdzie można je kupić?

— Obecnie urządzenia takie można nabyć w firmach agranicznych (poprzez pośredników działających w Polsce), oczywiście za dewiza z konta w banku PKO. Cena zestawu wynosi od 800 do 1800 dolarów, w zależności od klasy sprzętu. Odbiór jest on również załatwiony, z czego korzystają głównie instytucje państwowe. Cena waha się w granicach od 1,5 do 3 mln złotych.

— Trudno nie zauważyć, że są to koszty horrendalne, zwłaszcza dla odbiorców indywidualnych. Jednakże czego nie robi się za chęcią „pofortować” sobie z satelitą.

— Jak to zwykle bywa, dąży się za nowości technicznej i komfort. Kto chce być pierwszy, ten musi złożyć się na tak duży wydatek. Ceny urządzeń do odbioru telewizji satelitarnej będą miały systematycznie spadać, co da charakterystyczny przykład: tranzystorowy aparat galu, niezbędny do konstrukcji takiego sprzętu, kosztował nie tak dawno aż 500 dolarów, a obecnie można go nabyć za... 10



— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

— **ELI Z SATELITA**

tu. Po upływie określonego czasu kod ulega zastąpieniu i trzeba wnieść dalszą opłatę.

Z takiej szansy korzystają np. Polskie Radio i Telewizja, które zakupiły przystawkę do odbioru programu satelitarnego Sky Channel, czyli przebojowy muzyczny Jak podał tygodnik „Antena” za prawo korzystania z wiadomości stacji CNN zapłaciły 50 tys. dolarów. Istnieje taka ewentualność, że będzie coraz więcej programów satelitarnych zakonodowanych, czyli dostępnych dopiero po uiszczeniu opłaty.

— Nasi czytelnicy, zainteresowani tą sprawą, pytają często dlaczego do odbioru telewizji satelitarnej potrzebne są tak skomplikowane i drogie anteny?

— Dlatego, że moc nadajników w satelitach telekomunikacyjnych jest nieduża, wynosi zwykle od 20 do 25 watów. Wymaga to stosowania anten parabolicznych o średnicy od 180 cm. Do odbioru telewizji satelitarnej powszechnego użytku wystarczą anteny o średnicy od 60 do 90 cm, gdyż nadajniki będą mieć moc w granicach 200 watów. Dzięki temu zostanie uproszczona budowa anten i zmniejszą się ich ceny.

— Czy jest Pan osobliwie zainteresowany taką „zabawą” z satelitami, zwłaszcza że wiąże się to z dużym kosztem i umiejętnością posługiwania się skomplikowanym sprzętem?

— Naturalnie, że jestem zainteresowany. Przecież to duża frajda mieć do wyboru tyle programów. Na razie można mówić rzeczywiście o „zabawie w nowoczesność”, ale niedługo tysiące osób uzyskają możliwość odbioru telewizji satelitarnej. Oglądając już takie programy np. w gdańskim „Unimorze” Był także pokaz w Białymstoku. Jakość obrazu jest znakomita, a wybór wręcz oszałamiający.

Kto sobie zażyczy, może korzystać z kanału z programem dla dzieci (od godz. 5 rano do 15). Są całodobowe programy filmowe, oczywiście często „przeplatane” reklamą. Podobnie nie kodowany jest 24-godzinny program muzyczny. W jednym z kanałów można oglądać audycje przeznaczane głównie dla pań domu w innym — dla kibiców sportowych, w następnym — dla ludzi o różnorodnych zainteresowaniach. Są też programy typowo informacyjno-educacyjne. Do wyboru, do koloru.

Wszystkie są nadawane w: angielskim, niemieckim, włoskim, francuskim. Nie ma rady, trzeba zacząć uczyć się języków obcych, bo inaczej przydatność telewizji satelitarnej będzie znacznie mniejsza.

— Mam jeszcze jedno pytanie: czy programy satelitarne będą w niedalekiej przyszłości nadawane przez państwa socjalistyczne?

— Tak, wystrzelenie satelity służącego do tych celów jest przewidziane na rok 1992. Za jego pośrednictwem będzie można nadawać pięć programów TV. Dlatego przemysł w naszym kraju zamierza rozpocząć produkcję urządzeń koniecznych do odbioru audycji satelitarnych. Obecnie wytwarzamy w kilku firmach prywatnych tylko anteny, które są przeznaczone głównie na eksport. Za kilka lat ceny sprzętu nie powinny być szokujące, tak jak teraz.

Wielkie perspektywy otwierają się przed telewizją satelitarną w całej Europie. Dla wielu z nas są to na razie ciekawostki techniczne i wdzienne pole do eksperymentów. Miejmy nadzieję, że niedługo wody upłynię w rzekach, zanim to — jak pan mówi — „dobrodziejstwo XX wieku” stanie się ogólnodostępne i powszechne.

Rozmawiał: **MARIAN SUCHOZEBSKI**

MAZURSK TRYPTYK MAZURSK TRYPTYK

Kiedy sięgam do wspomnień, nie tylko przy tak uroczystej okazji jak święta, prześladują mnie uczucia pewnego długu wobec moich bohaterów. Zawsze pisało się na tempo, zawsze możliwe krótko, zawsze brakowało miejsca na to ostatnie, najważniejsze zdanie. Czy spłace kiedykolwiek ten dług?

KRÓL PUSZCZY

Wtedy oczywiście nawet nie przeczuwałem, że widzimy się ostatni raz. **EUGENIUSZ BIELAWSKI**, mimo, że był akurat po amputacji nogi, pałał energią jak za dawnych, dobrych lat. Opowiadał po swojemu z humorem, jak to w dniu, kiedy przechodził operację w piśmiennym szpitalu, w telewizji emitowano reportaż, który w pierwszej wersji nosił tytuł: „Król Puszczy”. To właśnie on jest tym niekoronowanym królem Puszczy Piskiej, choć wtedy w szpitalu bynajmniej „króla” nie przypominał.

— Ale teraz jest już do brzo — zapewniał. — Rana goi się nad podziw szybko. Po staremu snuł plany na przyszłość: — Co tam noga, iluż to ludzi całe życie obywateli się bez jednej nogi — usiłował przekonać bardziej mnie niż siebie.

A na ten dumny przydomek — który z czasem stał się obiegowy do tego stopnia, że wystarczyło list zaadresować: Król Puszczy — Wejsuny, a wszyscy na pocztę i w okolicy, wiedzieli o kogo chodzi — zasłużył sobie całkowicie. Ten syn murarza z Wołynia, były oficer AK, który jak wielu jego kolegów przeżył gorzkie zwycięstwa, osiedla się w schyłku lat czterdziestych na Mazurach, najpierw w Wiartlu a potem, już ostatecznie, w Wejsunach k. Rucianego-Nidy. Kiedyś zupełnie przypadkowo wpada mu w ręce mapa pow. piskiego z 1835 r. autorstwa Bogusława Gizewiusza, syna pastora Gustawa Gizewiusza (z polskie-

go rodu Giżyckich, tego od którego pochodzi nazwa Giżycków). Na tej mapie dokładnie 116 miejscowości nosi rdzennie polskie nazwy. To co czuł dotychczas bardziej instynktownie, że jest u siebie, na polskiej ziemi, znalazło obecnie potwierdzenie w wiarygodnym źródle historycznym. To ostatecznie przesądziło o jego wieloletnim zainteresowaniu dziełami tego regionu. Stał się zapalonym historykiem-amatorem. To on postawił w swoim czasie tezę, że początki polskiego osadnictwa na Mazurach sięgają XIII wieku. — To była pierwsza fala, potem przyszła druga, po reformacji, wręcz trzecia łączy się z powstańcami narodowymi, my należymy do czwartej...

Z latami stał się autorytetem, autorem wielu publikacji popularnonaukowych dotyczących dzieł tej jego małej ojczyzny, której serce stała się Puszcza Piska. Lecz nade wszystko był i pozostał od początku aż do 78 roku życia nauczycielem. Przywracał ziemię i jej dzieci do Macierzy. Swoim własnym życiem zaświadczył, że stał się Mazurem z powołania i wyboru. Ożenił się z rodowitą Mazurką, a jego przybrana córka razem z mężem, uczą obecnie w tej samej szkole, której on przez blisko ćwierć wieku był kierownikiem. To tu, w Wejsunach zakłada jedną z dawnych, dobrych lat. Opowiadał po swojemu z humorem, jak to w dniu, kiedy przechodził operację w piśmiennym szpitalu, w telewizji emitowano reportaż, który w pierwszej wersji nosił tytuł: „Król Puszczy”. To właśnie on jest tym niekoronowanym królem Puszczy Piskiej, choć wtedy w szpitalu bynajmniej „króla” nie przypominał.

— Ale teraz jest już do brzo — zapewniał. — Rana goi się nad podziw szybko. Po staremu snuł plany na przyszłość: — Co tam noga, iluż to ludzi całe życie obywateli się bez jednej nogi — usiłował przekonać bardziej mnie niż siebie.

A na ten dumny przydomek — który z czasem stał się obiegowy do tego stopnia, że wystarczyło list zaadresować: Król Puszczy — Wejsuny, a wszyscy na pocztę i w okolicy, wiedzieli o kogo chodzi — zasłużył sobie całkowicie. Ten syn murarza z Wołynia, były oficer AK, który jak wielu jego kolegów przeżył gorzkie zwycięstwa, osiedla się w schyłku lat czterdziestych na Mazurach, najpierw w Wiartlu a potem, już ostatecznie, w Wejsunach k. Rucianego-Nidy. Kiedyś zupełnie przypadkowo wpada mu w ręce mapa pow. piskiego z 1835 r. autorstwa Bogusława Gizewiusza, syna pastora Gustawa Gizewiusza (z polskie-

go rodu Giżyckich, tego od którego pochodzi nazwa Giżycków). Na tej mapie dokładnie 116 miejscowości nosi rdzennie polskie nazwy. To co czuł dotychczas bardziej instynktownie, że jest u siebie, na polskiej ziemi, znalazło obecnie potwierdzenie w wiarygodnym źródle historycznym. To ostatecznie przesądziło o jego wieloletnim zainteresowaniu dziełami tego regionu. Stał się zapalonym historykiem-amatorem. To on postawił w swoim czasie tezę, że początki polskiego osadnictwa na Mazurach sięgają XIII wieku. — To była pierwsza fala, potem przyszła druga, po reformacji, wręcz trzecia łączy się z powstańcami narodowymi, my należymy do czwartej...

I do dziś prześladowa mnie natrętne pytanie, czy ta pasja życia, która tak mnie wówczas uderzyła, czy to była próba oszukania siebie samego, czy też Eugeniusz Bielawski uważał, że tak trzeba. Będzie człowiek nigdy nie powinien się poddawać ani zalać, że musi trwać i żyć z godnością do ostatniej chwili.

DZIEŁO ŻYCIA

Przybył do Mikołajek w 1946 roku, lecz decyzję osiedlenia się na Mazurach podjął jeszcze na długo przed wojną. To nie paradoks: **Władysław Pilchowski**, naówczas Pilch, urodzony w Cieszyńcu, wiesz, że tu, na Mazurach, Powiślu i Warmii żyją Polacy, nasi bracia odłaczni. Mimo wojny i zmory okupacji wiedział, czuł, że sprawiedliwość dziejowej musi się stać zadość.

A potem już po przybyciu na to wymarzone, wysncone przez niego miejsce znajdował co krok dokumenty potwierdzające jego młodzieńcze przekonania. Z tym większym zapalem poświęcił się nauczaniu, przywracaniu Mazurów Polsce i Polski Mazurom. A równocześnie pedantycznie gromadził świadectwa historyczne, druki, pisma, pieśni, książki do nabożeństwa, poświadczenia polskości mieszkańców tej ziemi. Z czasem gromadziło się tego coraz więcej i więcej.

I pastor Pilchowski wpadł na wspaniały pomysł, aby w tym małym miasteczku, w wielkim szlaku turystycznym założyć w miejscowym kościele ewangelickim Muzeum Reformacji Polskiej. I tak z latami powstała ta unikalna nie tylko w Polsce lecz bodaj w całej Europie placówka o wyjątkowym wprost znaczeniu kulturowym i historycznym. Płon tych pracujących lat i owocnych lat, to setki i tysiące druków polskich wydanych na ziemiach pruskich a potem niemieckich zabioru, poczynając od XVII wieku, kończąc zaś na wybuchu II wojny światowej. Książki o treści religijnej, książki świeckie, kalendarze, przywileje różnego rodzaju, pruskie edykty królewskie (po polsku) czasopiśma i gazety, drukulskie okazjonalne, ogłoszenia, zbiory pieśni religijnych i świeckich, niezwykłe patriotyczne. Wszystko to w pięknej, niekiedy archaicznej polszczyźnie zaświadczało do wniósł o naszych niezwykłych prawach do tej ziemi.

— Ja to robię przede wszystkim dla Niemców — powiedział kiedyś pastor. — Aby im czarno na białym udowod-

nić, że jesteśmy u siebie. Nas przecież nie musimy przekonywać.

Nie gardzi żadnym sposobem, jak w swoim czasie Maksymilian Ossoliński, aby powiększyć zbiory ukochanego muzeum — dzieła swego życia. Nawet nieświadek rzeczy i zupełnie bezwiednie naraził się swojej zwierzchności duchownej.

I za każdym razem, kiedy jestem w Mikołajkach, opowiada mi o początku dzieła narodził muzeum. Bo ciągle jest to jego zdaniem historia nie zamknięta. Tyle jest wszak jeszcze polskich druków rozrzuconych po całej Europie, a być może świecie, na przykład w Ameryce. I on by chciał je mieć u siebie, tu w Mikołajkach, jeśli nawet nie oryginały to choćby kopie.

— Dzieło życia? — zastanawia się. — Czy można wobec tego w jakimkolwiek momencie powiedzieć, że jest już ona zakończona?

O CALIC OD ZAPOMNIENIA

Zadzwoniłem, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. — Obrastamy mechem jak stare drzewa, ale trwamy na przekór burzom — odpowiadał jak zwykle w swój piękny metaforyczny sposób **Jadwiga Tressenberg**.

Coraz rzadziej się bowiem widzimy ostatnimi czasy; wiek i odległość robią swoje. A kiedyś, przed laty spędziłem w leśniczówce Kuty u jej gościnnych gospodarzy **Jadwigi i Ludwika Tressenbergów** całe dwa tygodnie i to podczas srożej zimy, podpatrując po reportersku życie pracowników Puszczy Boreckiej.

Temu samemu zafascynowaniu — tutejszym krajobrazem i ludźmi — uległa w 1946 r. studentka geografii w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej — **Jadwiga Stefańska**. Przyjechała bowiem na wycieczkę razem z uczelnianym koleżanką geograficznym i ostatecznie została tu już na zawsze. Początkowo uczyła mazurskiej dzieci i dzieci pierwszych osadników w Jurkowie i Orłowie, aby w kilka lat potem, w 1954 r., już ja-

ko żona leśniczego **Ludwika Tressenberga**, osiąść na stałe w Kutach. Podejmuje nauczanie w miejscowej szkole, a jednocześnie z całą młodzieżą energią rzuca się w wir pracy społecznej. To dzięki jej przed wszystkim inicjatywie powstaje w Kutach piękna świetlica, a potem również izba regionalna. Do tej „swojej” świetlicy zaprasza znanych pisarzy na spotkania z czytelnikami, wśród nich nie-żyjącego już **Julia Kurka**.

Może wtedy, a może jeszcze wcześniej pomyślała, czy nie powinna przebrać na papier swoich myśli, a nade wszystko tego osobliwego zaurzeczona tutejszymi ludźmi. Słucha bowiem od pierwszych dni namienię ich opowieści, kłech i bajd i wszystko to notuje nie tylko w pamięci. Z czasem na tie tych autentycznych ludowych gawęd powstają jej własne, oryginalne opowiadania. Jest wiersz na faktom, ale próbuje je literacko przetworzyć i nadać im określoną formę.

Wreszcie nabiera odwagi i decyduje się na druk, najpierw w lokalnych czasopiśmie, a potem także centralnych. Można powiedzieć, że z miejsca odniosła sukces, pozyskała sobie na stałe wierznych czytelników, tych najmłodszych przede wszystkim. Potem jej „bajki mazurskie” ukazują się periodycznie w kolejących tomach „Kiermaszu Bajek”. W samych już tytułach tych bajek pobrzmiewają smętne echa dawnych dzieł: „Strasna jacht”, „Topnik z jeziora Waliśko”, „Zemsta mieszkanin z nad Żywego”, „Królowa Kut”.

I nadal, mimo upływu lat i podpadającego zdrowia, jest aktywna społecznie. Jeszcze jako radna GRN tak długo zabiegała w Suwałkach aż, przy mocnym — choć ze zromatych względów nieoficjalnym — poparciem męża, doprowadziła do powstania parku krajobrazowego o nazwie „Piłackie Wzgórze” na obszarze leśnictwa „Kuty”. Niech choć ten kawałek przyrody pozostanie dla naszych wnuków w stanie naturalnym — mówi z satysfakcją.

Jadwiga Tressenberg, laureatka honorowego wyróżnienia suwalskich „Krajobrazów”, współpracuje teraz z regionalnym piśmem „Jaćwież” i nadal skrupulatnie gromadzi stare mazurskie podania. — Aby ocalić je od zapomnienia. W nich bowiem zawarta jest, nierzadko tragiczna, historia miejscowego ludu: rybaków, leśników, rolników — takie postąćnictwo narzucała sobie na samym początku swojej literackiej drogi.

MARIAN WIŚNIEWSKI

Na początku był kulig...



„KULIG, KULIG JEDZIE, STAROSTA NA PRZEDZIE” — dobiegają z sąń wesołe śpiewy i nawoływania do zabawy. Mimo mrozu muzykant szparko rozciaga harmonię, a koniki cwałują bez poganiania. Nie prześcigają się, bo nawet w puszczy prawo drogowe obowiązuje. Lewa strona jeźdźni musi być wolna dla tych, którzy wracają nasyćni zabawą.

Mając nas kuligowiczów zaczepiają melodię „Myśliwiec”. Piosenkę podchwytujemy, ale rychło słów brakuje. Wiadomo, humory nie te. Powracający — rozgrani bigosem, a niekiedy i zawartością piersiówek, my zaś wciąż dopytujemy furmana, gdzie ta Stara Białowieża. Czemu do niej aż tak długo jedzie się saniami? Naszą kawkadkę wyprzedzają konie mechaniczne...

Trafiliśmy do „Dziślatki”. Numer dobry. Właścicielem jest **Andrzej Wasiewicz**, rodowity białowieżanin. Konik młodziutki, ledwie trzylatek, jeszcze nie oswojony z asfaltową motoryzacją. Co parę minut woźnica chwytą za uęgie, bo koń staje dęba... Po przednio powoźnia jego matka, ale wysłużoną klacz pan Andrzej zawiódł na punkt skupu. Kobylka ruszyła z Białowieży do Italii. A chomąto trafiło na szyję małowata...

Tak się składa, że największej roboty mają białowieżscy furmani w soboty i niedziele. Na te dni turysty zapisują się w kolejce. W ciągu dnia koniki mogą zrobić trzy kursy, a więc około 300 osób ma szansę przejechać się z centrum Białowieży do odległej o 7 km polany z ogniskiem.

Najwięcej amatorów mają kuligi wieczorne, choć te dzienne też dobre. Ale wprawna w lesne ostępy przy świetle księżycy ma urok niepowtarzalny. Noc rozjaśnia tylko blask pochodni i ogniska. Nie widać, kto młody, a kto stary, kto urodziwy, a kto maskara. Byłe mieć dryg do tańca, śpiewu, no i umieć zonglować patykami z kielbasą. Broń Boże, nie za bli-

ska płomieni, bo się splecie na węgiel...

Lecz oto pan **Piotr** rozpoczyna opowieść o królach, którzy pod tymi dębami „Darz bór” wolali. Przez długie wieki zwykli śmiertelnicy nie mogli wejść do puszczy. Białowieżskie knieje były zastrzeżone dla grubego zwierzra.

Puszczańska turystyka ma stosunkowo świeże tradycje. Peregrynacje do Białowieży jako pierwszy opisał 105 lat temu **Henryk Sienkiewicz**. W towarzystwie m.in. podlasiaka **Zygmunta Głogera** wybrał się on „Ku haszczo Białowieży”. Literaci przybyli nie trójka, lecz wozem poszóstym. Siali wtedy swym zaprzęgiem niemalą sensację.

Inny literat — **Wacław Sieroszewski** — pod koniec zeszłego stulecia wyprawił się pociągami, aby porównać puszcę polską z tajgami Syberii, „urmanami” Buracji, lasami Kaukazu. Po powrocie napisał: „Puszcza Białowieża

W tym miejscu przejeżdżamy kuligiem na str. 8



Pewien główny księgowy chyba przed dwudziestoma laty opowiadał mi zabawną historyjkę. Pojechał oto do Związku Radzieckiego, aby odwiedzić swego brata mieszkającego na wsi pod Wołkowyskiem. Ktoregoś dnia brateli do miasta i brat mojego znajomego zobaczywszy popa zaczął go nagabywać.

Wytłumaczcie mi, baciuzka, jak to jest. Kiedyś podobno bywały cuda. Ktoś tam odzierał a ikony po cerkwiach same odnawiali. Przyszła władza radziecka i da się skończyć.

I teraz są cuda, bracie — odpowiedział spokojnie pop — i to bardzo często. Ot, weźmy taki przykład. Kołchoźnik ma troje dzieci. Raz z żoną zarabia 130 rubli miesięcznie. 10 rubli z tego przepija, za 30 wyżywi i bierze całą rodzinę. Czy to nie cud?

— Ale nie o cudach chcę dziś pisać, a o zezwoleniu z cudem graniczącej. Gdybyśmy czytali o niej w autentycznym tygodniku 1937 roku, to bym nie uwierzył. W latach trzydziestych aż się rolio od astrologów i wróżbitów.

W „Dzienniku Białostockim” można było przeczytać ogłoszenie następującej treści: Przyszłość każdego dokładnie odczyta z linii rąk, obliczy z orbity planet astrolog **Wawlewska**. Udziela porad w różnych sprawach. Alawia sumiennie — przepowiada gruntowne. Ceny od 1 złotego. Białystok, Kiliński-

go 15, mieszkania 2, od 10 rano do 7 wieczorem.

Nie wiemy czy pan **Wawlewska** przepowiedział, że kilkanaście lat później w jego mie-

Chiromancja (użytkowa)

szkaniu powstawać będzie codzienna gazeta Białostocka — czyli „Gazeta Białostocka”. Wiadomo było, że wróżek i wróżbitów było sporo w naszym mieście, ale tylko nieliczni się w prasie ogłaszali.

Gazety z lat trzydziestych centralne i te regionalne co i raz przynosiły obszerne opisy przepowiedni znanych astrologów włoskich, francuskich, niemieckich i węgierskich. W grudniu 1937 roku kilka polskich czasopism zamieściło za

cyjną przepowiednię znanej na Węgrzech wróżki **Boriska Silbiger**, pełniąc jednocześnie funkcję sądowego grafologa.

„Według tej przepowiedni 1938 rok miał przynieść silne niepokoję polityczne (i przyniosło wcielenie Austrii do III Rzeszy i zagarnięcie jesienią tego roku czeskich Sudetów przez hitlerowskie Niemcy), które w maju osiągną najwyższe napięcie, kiedy to nastąpi wybuch wojny europejskiej.”

Węgierska wróżka przepowiedziała, że na

początku będzie to wojna tylko między kilkoma krajami, ale w 1939 roku przekroczy granice Europy i zmieni się w wojnę światową.

Wojna będzie trwała cztery lata, a jej następstwem będzie tak gruntowne przeobrażenie świata pod względem politycznym, społecznym i ideowym, że mieszkańcy Europy lat trzydziestych nie byłby w stanie uwierzyć, że to samo i traktowałyby jako czystą fantazję. „Szczególną rolę w tych wydarze-

niach, — twierdziła **Boriska** — odegrają Włochy i Rosja, które wpłyną decydująco na losy Europy. Czynną rolę w wojnie odegrają Niemcy, które dzięki swym obrzynom przygotowań wojennym będą usiłowały realizować swe wielkie, zaboborne i imperialistyczne cele. Jednakże nadzieje ich nie spełnią się, nie osiągną oni korzyści, których oczekują.”

Drukując przepowiednię budaeszteński dziennik podkreślił, że **Boriska Silbiger** już od kilku lat „trzyma w napięciu publiczność węgierską ścisłością i trafnością swoich przepowiedni”. Na dowód tego przypomniał, że to ona właśnie przepowiedziała m.in. zwycięstwo Hitlera w walce o władzę nad Niemcami, zamach na króla jugosłowiańskiego **Aleksandra**, napad Włochów na Abisynię, śmierć króla **Jerzego V** i abdykację jego następcy — **Edwarda VIII**.

Duży autorytet, jakim otoczona była wróżka na Węgrzech spowodował, że jej przepowiednia wywarła wielkie wrażenie.

Dziś niecierpliwie czekamy, aby ktoś trafnie przepowiedział wyniki reformy. No cóż, astrologów jak na lekarstwo. Świat stał się na wskroś pragmatyczny. Kilka lat temu nikt nie przepowiedział, że 8 grudnia 1987 roku **Gorbaczow** i **Reagan** podpiszą historyczny układ antynuklearny.

Dziś już nie ma mody na wróżbitów, jeno na bioterapeutów.

MAESTRO „VIVA”



— Panie święty Mikołaju, pańska torba jakas taka pusta, dlaczego? Czy nie zasługujemy na prezenty?

— Widzi pan, mój synu, w prezencie mogą dać ludziom tylko to, co oni sami wytwarzają. A u was z tym raczej kiepskawo. Zachodziłem tu i ówdzie, rozmawiałem z różnymi producentami, ale na nic się to nie zdało. Ci mają towar tylko na eksport wewnętrzny, tamci wyłącznie na import zewnętrzny, a jeszcze inni — tych jest najwięcej — w ogóle niczego nie mają. Regulacja goni dotacje, dotacja inflacja, inflacja demokracja i tak dalej, a wszystko razem liczo wie dokąd pędzi. Pod dostatkiem macie tylko gorzalkę, ale tej z kolei dawać mi wam w prezencie nie wypada, no bo co to za prezent, po który każdy może sięgnąć, kiedy mu się tylko zamarzy?

— Być może ma pan rację... ale, ale! Właściwie jak sąm się do pana zwraca? Święty Mikołaju, obywatelu Mikołaju, czy może jeszcze jakosi inaczej?

Kompleks dentysty

czyli wywiad ze świętym Mikołajem

— Faktycznie, ostatnio bardzo się u was wszystko poplątało i o ile mi wiadomo nikogo już nie dziwi markista w kościele, jak ongi nie dziwi katolik na zebraniu partyjnym. Tym niemniej forma, w jakiej chcecie pan zwracać się do mnie, jest mi całkiem obojętna. Swego czasu nazywano mnie u was dziadkiem Mrozem i mimo tego jakoś do dzisiaj nie zamierzam.

— W takim razie pozostawmy przy liczbie pojedynczej formy „pan”, robiąc ostatnio karierę nawet w kręgach tradycyjnie kulturowych form pluralis. Proszę mi powiedzieć, skąd pan do nas przyjechał?

— Prosiutko z Albanii. Obowiązuje mnie ustawa o wczesniej listy kolejności odwiedzin, sporządzana co roku przez wyspecjalizowane agencje ONZ, na podstawie różnych wskaźników zbiorowych oraz indywidualnych. [Pobędę trochę w waszym pięknym kraju i zaraz jadę do Etiopii, gdzie także na mnie czeka].

— Bardzo chętnie gościlibyśmy pana u siebie jak najdłużej.

— Poitmem szczerze, że i ja też o tym marzę, żeby u was dłużej posiedzieć. Widzi pan, rzecz w tym, że jestem przeciw światowemu; rozumiem wiele, ale was ciągle zrozumieć nie umiem. Na przykład ten czysto polski kompleks dentysty!

— Słucham?

— Mówię o kompleksie dentysty. Wszyscy otóż doskonale wiecie, że wasza gospodarka jest jak sprężyna, nie leczona, tylko łamiąca. Trzeba go wyrwać, żeby uratować szczękę. Wy jednak boicie się ekstrakcji, chociaż dentysta obiecuje wam miejscowe znieczulenie. Wolicie, żeby pobolewał latami, żeby ciął i nął, byle tylko nie uciekło z futelu i żeby nie rozdziało. A przecież podwyższyć cen i tak będą, bo one być muszą, jeśli nie dekretywane przez rząd, to po prostu zwykłe, hiperinflacyjne. Nie godząc się na zabieg tyle tylko zyskujecie, że jak gdyby rozciągają się one w czasie. Ząbek będzie was bolewał długo jeszcze, a zamiast środka znieczulającego dostaniecie co najwyżej skłanianą herbatę. Nie chce was straszyć, ale żadnych powszechnych i rzeczywistych lecących się rekonwalescencji nie będzie, bo niby kto i w jaki sposób w tej sytuacji zdoła je wyliczyć? Niektóre pensje wzrosną, zapewne. Do przodu pójdą silniejsi, lepiej zorganizowani, dysponujący siłą perswazyjczy jakas inna forma nacisku, a cała reszta przeżyje jeszcze większy szok, niżby przeżyła, gdyby dała sobie ten ząbek wyrwać.

— Smutne rzeczy pan mówi.

— Ale prawdziwe. Żeby jednak całą prawdę dopowiedzieć do końca, muszę stwierdzić obiektywnie, że kompleks dentysty nie ma już czasu, który regularnie nie chodzą do dentysty. Wam, o ile mi wiadomo, wmańwano kiedyś, że uezębienie macie lśniące jak kryształ. Kiedy pojawia się tylko jakas dziurka, zaraz kłajstrowano ją plaśtelką, i tak to sobie szło, aż normalnej rzeczy kolej roza zebrała i musiała w końcu trusnąć. Teraz każde dotknięcie do dziurki boli o kropkę i trudno się dziwić, że nie lubicie urzodu dotykać.

— Panie święty Mikołaju, porozmawiajmy może o czymś weselszym! Święta przecież w końcu mamy.

— Nie ma sprawy, sam także wolę weselsze tematy. Na przykład, jak sobie tylko pomyśle, ile czasu i wysiłku poświęcając na gładzenie, zaraz robi mi się śmiesznie bardzo. Swoją demokrację pojmujecie jako uszczególnianie wszystkich gadulstwo, kompleksowe i dogłębne. Każdego obywatela konieczne chce wyedukować na ekonomistę i polityka. Na każdym kroku wkładacie mu do głowy terminy i pojęcia, których on nie rozumie i które w gruncie rzeczy nie są mu do niczego potrzebne. Na całym świecie znane jest pojęcie specjalizacji. Ekonomista zajmuje się gospodarką, polityk polityką, lekarz leczy a murarz domy stawia. Ani trochę nie mogę zrozumieć, dlaczego u was gospodini domowa ma decydować o kształcie państwa? Czy pochylona nad patelnią — w naszym kobiecie nie uwalniają — widzi lepiej od fachowca wszystkie węzłowe zagadnienia i problemy? Czy lepiej je rozumie i czy na pewno aby podejmie te najtrafniejsze decyzje, brzemienne w skutkach dla całego kraju? Zaiste, powiadam panu, synu, że dłużej już wleźć się po świecie, aliczy z podobną

demokracją nigdzie i nigdy się jeszcze nie spotkałem.

— Czy zawsze musi pan mieć rację?

— Nie zawsze, jednakże tego jestem pewien, że gdyby cały ten wysiłek intelektualny i fizyczny — siedząc na kolejnym zebraniu, człowiek męczy się także — zamienić na jakieś drobne tylko działania każdego we własnej pracy, już dawno byłoby u was całkiem inaczej.

— Być może. Ale mieliśmy przecież mówić o wesolych sprawach. Proszę mi zatem powiedzieć, do pana u nas śmiesz, zdumiewa, zaskakuje, a co bawi?

— Właściwie to mam taką jedną sprawę, która zawiera w sobie wszystkie te elementy. Chodzi mi mianowicie o szokujące i pełne konsekwencji pojęcie krajowa dewizowego, nie znane nigdzie więcej na całym świecie. W pogoni za dewizami pobiegliście już tak daleko, że tylko u was wartość dolara stale rośnie, podczas gdy wszędzie gwałtownie spada. Ale to jeszcze drobniadzek. Owa pogoda doprowadziła was do sytuacji, w której opłaca się pracować tylko u obcych, nie zaś u siebie, we własnym kraju. Przecież każdy z was, kto wyjeżdża na jakiś kontrakt, prywatny czy oficjalny, do państwa biedniejszych nawet od waszego, po powrocie automatycznie staje się multimilionerem. Za godzinę swojej pracy sprzedając tam, tu może kupić tydzień harówki rodaka! Budują mu więc rodacy wille z wykuszami, on natomiast, jeśli resztę pieniędzy złoży w banku, z samych tylko odsetek będzie mógł żyć do końca życia nie ruszając nawet palcem! A wszystko to za dwa-trzy lata pracy na obczyźnie. Tego nie było dotąd na świecie, w żadnej ze znanych mi formacji, niewolnictwa nie wykluczając. Dzieli to wasze społeczeństwo na tych, co byli, więc mają, i tych, co nie byli więc w stosunku do tych pierwszych są zebrakami. Przecież lekarz czy inżynier pracujący na obczyźnie w miesiąc zarabia tyle, co u siebie przez dwa lata! I żaden to margines, bynajmniej. Co roku przybywa wam w ten sposób kilkanaście tysięcy milionerów bez żadnych właściwych kapitałów, bogaczy bez pieniędzy de facto, których bogactwo u ich własnym kraju opiera się wyłącznie na paranoicznej relacji zgotowanego do wódki i wódki do dolara. Czy trzeba być ekonomistą, żeby zrozumieć, że tych waszych tak zwanych krajowców dewizowych w gruncie rzeczy finansuje cały naród? Wam jednak wydaje się być z tym dobrze. Zdumiewająca sytuacja!

— Jeśli pan pozwoli, drogi Mikołaju, może kiedyś jeszcze wrócimy do sprawy. A póki co serdecznie panu dziękuję za wywiad.

— Chwileczkę, nie jest pan ciekaw, co panu przyniosłem pod choinkę?

— Pewnie skarpetki? A może zalik?

— Nic z tego. Kupon totolotka, bo to pana największa szansa.

— Tak czy owak dziękuję. Rozmawiał: WIESŁAW PŁOTKARZ

Wiedzie żywot niesłuchanie spokojny. Wypoczywa ćwicząc język francuski, żeby wiedzieć, co słycać u żabojadów

Tegoroczna jesień była ciepła i pogodna. Przynajmniej w mieszkaniu DANUTY GUZOWSKIEJ na ósmym piętrze bloku osiedla Białostockiego. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zrobiło się tak sucho, że na ścianach nie wysypały grzyby, a deszczówka nie spływała za kolnierze; doniczki przestały przymarzać do parapetów i stało się jasne, że zmienił się klimat.

Pani Danuta straciła pół zdrowia w tej chłupie, a drugie pół na wędrówkach po pomoc do wszystkich świętych — od przeszłospółdzieni po lekarzy. Cud się stał w sierpniu za sprawą WIKTORA PUCZYŃSKIEGO, kierownika zespołu opracowań laboratoryjnych Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego „Mastopjekt — Białystok”. W ciągu dwóch niepełnych dni pomysł skutecznego izolowania ścian

nu doznownie wdzięczna za to ostatnie. Kogo pan jeszcze uszczęśliwił? — Na razie robiłem próby. Wstępne eksperymenty w „Fadomie”, żeby nie zawracać głowy lokatorom i ten jeden sprawdzian w bloku. Wyszło lepiej niż przypuszczałem. Potwierdziły to pomiaru specjalną aparaturą rejestrującą przepływ strumienia ciepła, którą sprawdziłem.

— A konkretnie... — Nie powiem. Instytut Techniki Budowlanej może nie wydać świadectwa dopuszczającego do produkcji, może zażądać dodatkowych doświadczeń. Nie chcę zaprzeczć, przedwcześnie narobić smaku. Jeszcze nawet nie złożyłem wniosku w ITB.

— Nie widzi pan szans upowszechnienia? — Jak to nie! Weźmy cenę rynkową powszechnie stosowaną do innych celów pianki poliuretanowej i tego fefernego styropianu, który usuwam z płyt... Aja! wygadałem się! Co będzie jak to nie wyjdzie, co będzie? — Teraz już za późno na

Patentowego zapewni już ochronę wniosku.

Typowanie miejsc w galerii

Pani Wiktor ma niejakie trudności z policzeniem godzin w swoim typowym tygodniu roboczym.



skiego. Proporcja 6 tys. zł do półtora tysiąca mówi sama za siebie.

W jedenastokondygnacyjnym bloku z trzema klatkami schodowymi można zaoszczędzić do siedmiu milionów zł! Istotne jest, że przy metodzie z pianką wystarczą ocieplić przeciętnie 10 proc. pomieszczeń, nie ruinując ani ich wnętrza, ani elewacji domów. Biorąc się za dzieło z zewnątrz, trzeba opakać obłoczy materiałem izolacyjnym, obić blachą, bo żaden architekt nie pozwoli kleić na nim plastrów.

Inżynier Puczyński bardzo nieswojo czuje się w roli laureata choćby nagrody NOB, kogoś z odrobiną głosu czy tak jak twórca przepisu na świętą strawę intelektualną. Woli kłamać między biurami i halą produkcyjną prefabrykatów, chociaż mógłby nie wymyślać sobie zajęć; pędzić żywot urzędniczy, wyznaczany rytmem dniówki między poranną herbatą i popołudniowym fajrantem.

KUPA SZCZĘŚCIA Z MAŁĄ PIANKĄ

zewnątrznych, tych ze stolarów, przybrał kształt konkretny. Co prawda Urząd Patentowy, w którym opatrzono go na razie numerem zgłoszenia, nie podjął jeszcze decyzji, ale trudno się temu dziwić. W ciepłym, stołecznym biurze nie sposób sobie wyobrazić przymrozki w jakimś białostockim mieszkaniu.

za cudotwórcą działalność Wiktor Puczyński zabrał się już ponad dwadzieścia lat temu. — Czy z nudów? Nie sądzę. Po prostu tkwi we mnie — powiada — taki jakiś niepokój, niecierpliwość, żeby zająstrować coś nowego i znaleźć w użyteczności rozwiązania choć odrobinę satysfakcji.

Głowy myślą o betonie

Pani Wiktor nie wygląda na racjonalizatora, czy wynalazcę miotałowego przeciwcieplami losu, błędnym wzrokiem takującego sterty opracowań o a-nemicznej sile przebiecia. Przypomina raczej naukowca, który spokojnie, metodycznie dochodzi do koncepcji, nabierających pod własną ręką zadziwiających walorów.

Oto dwa tegoroczne dyplomy pochodzące z tego samego przegładu prac projektowych, organizowanego we Wrocławiu przez Zrzeszenie „Mastopjekt”. „Premia II stopnia w grupie badawczych, studialnych i innych, za eliminację obróbki cieplnej prefabrykatów w sezonie letnim z zastąpieniem jej domieszkami chemicznymi”. Obok „Premia III stopnia za oszczędność energii cieplnej i cementu przy produkcji elementów prefabrykowanych przez zmianę systemu naparzenia”.

Pozorne przeciwieństwo zainteresowań: tu obróbka cieplna, a tam jej wykluczenie.

— Ależ nie ma tu żadnej sprzeczności — cierpliwie tłumaczy laureat (a jakże, były koperty z wkładem złotowym, uściśli, blysk fleszy, pełna gala). Po prostu w różnych okolicznościach stosuje się odmienne rozwiązania.

— Pani Guzowska jest pa-

zwątpienie. Zanotowane, wydrukowane, przeczytane. Musi wyjść. Wszyscy chcą mieć ciepło w mieszkaniach, a do pani Guzowskiej się nie przeprowadza. Poza tym wykonać się tyle absurdalnie drogiej i niezbyt skutecznych zabiegów, żeby ocieplić bloki, a pan błyskawicznie ogadzi chłupa.

— Właśnie w tym cała rzecz, że nie ogadim. Robi się to tak: bierze się „Nyskę”, dwóch pracowników, zajeżdża się pod wskazany adres, wyjmując stolarke o kienną i po kilku godzinach montuje się ją z powrotem.

— „Nyskę”? — Stolarke. Trzeba ją wyjąć, żeby dostać się do komory termooizolacyjnej w zewnętrznej płycie. Usuwamy styropian. Jest zwykłe, byle jakie. Wie pan jak się poprzednio pędziło z elementami prefabrykowanymi. Czasem na trzy zmiany. To też arkusze styropianowe bywały ponadtapiane, porwane, miejscami mają przepyły betonowe, różne wtrącenia i nie wstrzymują tak jak trzeba odgłosy ciepła z wnętrza. Skutek zwykłego pośpiechu i niechlujstwa wykonawczego; no i jak komuś jest już pusta, spienia się sztywną piankę poliuretanową dokładnie wypełniając lukę. Efekt jest skuteczniejszy niż wtedy gdybyśmy dali podwójną warstwę wyjątkowej jakości styropianu — nie pięć, a dziesięć centymetrów... Znow wyciągają pan ode mnie parę szczegółów.

— Nic podobnego. To pan z przyjemnością przystąpił do upowszechniania swojego pomysłu. Ja za pośrednictwem gazety spróbuję tylko powiększyć grono wdzięcznych.

— A jeśli ktoś ukradnie rozwiązanie? Przecież chcemy w przedsiębiorstwie (o-pierając się na tym projekcie) spróbować jak jako jednostka innowacyjno-wdrożeniowa.

— Rozumiem. Dlatego silna ekipa waszego „Mastopjektu” była na konsultacjach w Domu Technika tak tajemnicza jak stado sflinków. Niech pan się jednak nie obawia. Wiemy o niej, że pozycja w rejestrze Urzędu

Gdy coś opracowuje, konstruuje czy sprawdza — nie mierzy czasu. Zdarzało mu się spędzać w „Fadomie” przy formach cale doby, a przy notatkach i szkicach myśli dzień z nocy.

Rodzina nie protestuje. Głównie dlatego, że jej nie ma. No więc kradnie na pracę zawodową i hobby, choć to w zasadzie to samo każde wolną chwilę. Wypoczywa ćwicząc język francuski, żeby wiedzieć, co słycać u żabojadów, głównie w ich betonach i prefabrykach. Ot, żywot niesłuchanie spokojnego człowieka.

Start miał wiele obiecujący. Przemyśleliśmy się wtedy do budowy drugiej Polski, a on brał się za popioły i zgłiszca. Ścisłej — badał wpływ popiołów lotnych na wytrzymałość betonu, zaś minister od budownictwa badał jego postępy, żeby w końcu przyznać wyróżnienie. Było nawet zdjęcie w jakiejś gazecie i na tej fotografii nie zmieścił się szef resortu. Zdziwiliwacę praktyki, duży nieakt! Zwykłe to pan Wiktor z trudem mieści się w redakcyjnych stopkach i serwisach. Gdy opracował instrukcję nr 241 do swojego projektu, w galerii nazwisk był dopiero trzeci — ostatni.

Sposób z pianką, czyli metoda docieplania płyt trójwarstwowych w budynkach mieszkalnych albo inaczej — poprawa izolacyjności ścian wzdłużnych, podpisało grono czterech współtwórców. — W tajemnicy powiem panu — ścisza głos Puczyński, że w trzech czwartych projekt jest mój i znalazłem się na pierwszym miejscu. Niech pan lepiej nie pisze — zniechęca mnie cierniowie.

— Niestety, taki zawód. Czasem go wykonuję, a niekiedy sprawiam. Żeby pana nie niepokoić, zajmijmy się arytmetyką.

Rachunek jest prosty. Z kilkunastu różnych metod ocieplania lokali, ta jest bezspornie najtańsza. Porównajmy koszt zewnętrznego izolowania jednego metra kwadratowego ściany sposobem „lekkim” (naklejanie płyt styropianowych, układanie wyprawy elewacyjnej itd.) techniką Wiktor Puczy-

Jak sięgnąć poza wyobraźnię?

„MASTOPEKT” pracuje w pewnym sensie w akordzie. Wynagrodzenia zależą od wpływów ze sprzedaży. Dla wynalazcy nie jest to dobry doping. Można ciągnąć prostą, typową robotę za nieźle pieniędź; bez ryzyka, zaopatrzeniowych korowodów, bez osobistego targowania 60 litrów octanu etylu, którego oficjalnie nie ma, rozpuszczalników, bez niepokoju o to, czy wymiowana i instalowana półnieszolarka nie rozspłynie się nagle. Komuś wystarczy może nudne, monotone faszerowanie portfela przeciwnymi wyplatami za przeciętną robotę. Puczyński mówi, że to chleb powszedni, na którym znaleźć się powinno coś trzeźwieszego — kawałek zadowolenia, odrobina satysfakcji, szczypta refleksji, że warto oknąć się ze zwykłego spowieszenia.

Bywa, owszem, ile kilibie zwątpia, sąsiadzi machną ręką, w niejasnych okolicznościach zaginie dokumentację (jak w roku 1983, kiedy nie pomogły komisje odwoławcze ani generalna prokuratura).

Ostatnio jest lepiej, trwa dobra passa. W tym roku udało się opracować trzy zgłoszenia patentowe, a poza tym (a może przede wszystkim) stworzyć wewnętrzne zlecenie „Mastopjektu” na ten zakres prac, który wcale nie wynika w sposób oczywisty z zadań biura projektowego. To zaś znaczy, że racjonalizator nie za wszystkim musi biegać sam i z własnej kieszeni inwestować we własny pomysł. Jakby po nowemu i bliżej reformy. Niezwykły postęp.

Wyobraźnia kreśli natychmiast najfantastyczniejsze wizje. Kto wie czy już niedługo nie spotka nas szczęście mieszkaniowe wśród suchych, nie splesniałych ścian, stapania po równej, nie kruszącej się posadzce, miłym ciepłym cerpanym niekoniecznie z kozuchów i rekawiczek.

ANDRZEJ POLAKOWSKI
Fot. ZDZISŁAW LENKIEWICZ

Na początku był kulik...

Cicho dzwonią dzwoneczki, parskają koniki. Jedziemy dalej...

Ciąg dalszy ze str. 1

uderza nade wszystko przedziwna harmonia rozmiarów i świata”. Po to, by poznać puszczę na wylot, wynajął pisarz starego budnika ze wsi Pogorzec i pojechali o-baj furmanką do zamczyska, Starej Białowieży i Góry Batorego.

Sto lat temu nikt w Białowieży nie słyszał o turystach. Sieroszewski napisał, że towarzyszące mu w podróży córki wywołały dziwisko z powodu wkładania na siebie aż trzech spódnic. Gospodyni, u której zatrzymał się pisarz, powiedziała, że pierwszy raz w życiu widzi polskie kobiety. Rzekła: „Jedzą tu pa nowo, ale zawsz e męczyżni, ziemiemiery, inżyniery...”

Eliza Orzeszkowa peregrynowała do uroczyska Nikar w 1898 roku. Napisała: „Puszczę i jej ludność składają się na całość potężną i prawie nikomu nieznaną. Las olbrzymi, ogromnie urozmaicony. Ludność bardzo mieszaną, istny kosmopolis: Białorusini, Małorusini, Tatarzy, Niemcy i Polacy. Tych ostatnich jest parę tysięcy, osiadłych po wsiach wśród puszczy rozrzuconych”.

Tradycje masowej turystyki białowiejskiej są świeżej daty. W 1946 roku Bolesław Podewyński (ówczesny minister leśnictwa) napisał we wstępie do książki o Puszczy Białowiejskiej, iż „będzie ona służyć nie królom i magnatom, a pokoleniom ludu pracującego”. Tak też się stało. O każdej porze roku odwiedzają Białowieżę tysiące turystów.

A jednak hold dla koronowanych głów płacze się po puszczanych ostępach do dziś. Na cześć goszczącego w Starej Białowieży księcia Filipa — małżonka brytyjskiej królowej — urządzono miejsce biwakowe, które od tej wizyty zwie się Filipówka. Nie tylko w tradycji ustnej, ale i na mapach. To tu zatrzymują się na popas konne kawałki kuligowców.

Wśród czterdziestki białowiejskich furmanów przewa-



żają słowotwórcy. Roman Podlaski, Michał Bajko, Stefan Buszko pamiętają, jak car zjeżdżał do Białowieży z całą świtą. Z jego polecenia zbudowano nie tylko pałac, ale i cerkiew, która do dziś służy ludności prawosławnej (katolicy zafundowali sobie kościół później — na przelomie lat dwudziestych i trzydziestych). Natomiast po wystawnej siedzibie rosyjskiego monarchy — utrwalonej na zachowanych taśmach filmowych — nie ma śladu. Została tylko nieco zaskakująca przybyszka nazwa stacji PKP — Białowieża Pałac.

Królewskie i książęce tradycje są znikome wobec potęgi samej puszczy. To ona przyciąga turystów. Przyjeżdżają, by zobaczyć zachowane tylko tu okazy przyrody z herbownym żubrem na czole. Oglądają matecznik Europy w stanie chyba niezmienionym od stuleci.

A kto bardzo pragnie, może spotkać tu nie tylko królową puszczy, ale i rzadkość ornitologiczną, jakim jest kulik. To od tego ptaszka wzięła się nazwa zimowych wycieczek. Mało kto wie, że kulig pochodzi od kulika...

Co ma sanna do ptaszyny? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sięgnąć do dzieł historyków staropolskich o byczajów. Pierwotnie kulig był zabawą zapustną, polegającą na odwiedzaniu kawaladek sań szlacheckich dworów i pałaców. Kuligowe towarzystwo, przebrane w zabawne stroje i maski, ze śpiewem i muzyką zżywało swawoli przed nastaniem popołudniowego postu. Ptaka wzięto za symbol hałaśliwego obyczaju, gdyż wydaje on charakterystyczne żałosne kwilenie, które psuło wesołe nastroje miłośników zabaw. Uczestnicy kuligów wolali, by ich śpiewów nie kłóciło jakieś zawođenje ptaków, a więc gonili ich śladem...

W noc świętojańska szukano kwiatu paproci, natomiast w zapustną — smutnego kulika. Różnica tylko ta, że kwiat paproci pozostał w baśniach, natomiast kuliki można jeszcze spotkać na białowiejskich i narwiańskich bagnach. Być może ostyła dlatego, że w puszcząńskiej guszy nie było szlacheckich dworów, nie kursowały tedy hałaśliwe korowody sań, nie urządzano pościgów za płazliwymi ptakami.

Tych dziesiętnych kuligów po puszczy — białych i zielonych, saniami i bryczkami — nikt już z zapustną tradycją nie łączy. Współczesne trwają non stop. Od Mieczysława do Sylwestra. Nikt też nie boi się urządzać konnych wypraw choćby w samą środę popielcową, a żalosny trel kulika na nikim nie robi wrażenia...

HELENA VANEK

Któż z nas nie obiecywał sobie, że następnym razem nie da się zwariować. Bo właściwie do czego to podobne, aby catoroczny wędzelnik nie stawił na głowie po to, aby tradycje stało się żądost. Jednak kiedy rusza przedświąteczne „tornado”, kiedy widzimy go wyprawiającego sąsiedzi, bliżsi i dalsi znajomi, kiedy domowników skreca głów na niepowodzenie skąd by tu karpia, parę się dzi i choć garść maku na kutię, zapominamy o solennych przyrzeczeniach i rzucamy się w przedświąteczną krzątaninę ze dwójną energią. Wszak nie możemy być gors!

Zresztą, nie musimy się aż tak bardzo usprawiedliwiać; przecież nie ma piękniejszych, dosłownie i w przenośni, równie ciepłych — choć zimowych — świąt, jak święta Bożego Narodzenia.

Blask światełek, wypatrywanie pierwszej gwiazdy, biel obrusa z zapachem sianka i otarasającej się z leśnego mrozu jedliny, to wspomnienia drogie, jak szczęśliwe dzieciństwo. I jeszcze radość, że zrozumieliśmy — z mikołajowych prezentów i ta dziwna — emanująca z kochających serc. Do zrozumienia po latach i odważenia... lub nie.

W jednym z ostatnich dni listopada stojąc za sprawunkami w kolejce do kasy przyszlichiwaliśmy się dziwnemu monologowi. — Niechby na tych parę dni do szpitala... — bardziej siebie niż swoją przysługą rozmówczyńce upewniała głosiła kobieta. — Mina święta, będę zdrowsza. Nawet lekarz mówił, że potrzeba mi spokoju. To i myślę, że warto spróbować. Tyle mam chorób...

Kobieta przysiadła obok koszyków. Nabierała sił przed wyruszeniem w powrotną drogę ze sklepu do domu. Przekładała powoli do siatki pół chleba, pół masła, małe zawiniątko z serem. Nie spieszyła się. Samotnym czasem miała o wiele wolniej.

Lekarzy nie dziwi specyficzny przedświą-

teczny ruch w szpitalach. Z wieloletniego doświadczenia wynieśli umiejętność rozpoznawania wszystkich powodów, które „ciągną” pacjentów do rodzin, do domów. Wiedzą też dlaczego, inni, chociaż podleczeni, nie są zainteresowani powrotem; ci nie wybierają się do domu, bo albo go nie mają, albo wiedzą, że „bliszy” nie przewidzieli dla nich nawet zryda przy świątecznym stole. Najczęściej są to ludzie starzy, samotni i opuszczeni, z dolegliwością dodatkową — chorobą sierocą. Pozostają w łóżkach też młodzi ze względu

ZGWIAŁKA W BIELI

na zły stan zdrowia, zalamani i smutni. Jednak zwolnione łóżka nie stoją puste. Szpital wszak nie zawiesza działalności, funkcjonuje normalnie, przyjmując następnych pacjentów.

Jak na okazję, liczą na świąteczne miejsca ludzie niedołężni, przewlekli chorzy, a jednocześnie samotni; najczęściej w podeszłym wieku. Leczeni ambulatoryjnie, w okresie zryda przeto dolegliwości trafiają do szpitala. Wzruła z nich w ten sposób „pieczę” naraz dwie pieczęcie; podpreparuje zdrowie, a jednocześnie spędza „prawdziwe” święta — z choinką, Wigilią, opłatkiem. Do tego — w gronie żywiliwych osób — w takiej atmosferze zdrowie powraca szybciej.

Co roku więc, w grudniu, podobnie jak przed Wielkanocą, w łóżach przyjeżdżają kwalifikujący pacjentów do położenia, oprócz

ich stanu uzględniają w szerszym zakresie również wskazania społeczne. Każda z takich decyzji oddziału siostry PCK, mające przeważnie obowiązkowy „z czubem”, głównie dlatego, że jest ich mało.

Nie ma natomiast specjalnych szpitali dla ludzi przewlekłych chorých. Stąd funkcje te pełnią w okresie świąt typowe placówki: Nie tylko zresztą w tym okresie.

W tym roku Szpital Miejski ZOZ w Białymstoku będzie mieć ostry dyżur w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

— Zawsze, lub prawie zawsze znajdzie się u nas miejsce dla takich chorých — mówi ordynator dr n. med. Waldemar Nowak. — Świąteczny nastrój udziela się wszystkim. Personel robi generalne porządki, prawie jak w domu. W pokojach lekarskich i pielęgnarskich pojawiają się gałkiżki świerkowe. Zsta choinkę — zawsze ładnie ustrójona — ustawiamy dla wszystkich w salach dziennej pobytu albo na korytarzu. Sprawa zaopatrzeniowców jest zapewnienie produktów do sporządzenia tradycyjnych potraw. Dla pacjentów z dietą ogólną szpitalna kuchnia przygotowuje i w tym roku śledzika, rybę smażoną. Będzie też barszczyk. Inni zadowolą się rybą w galarecie. Trudno, dieta! Będzie więc prawdziwa Wigilia, z opłatkiem, kołędami i księdzem.

W odczuciu personelu szpitala obecność duchownych, zarówno katolickich, jak też prawosławnych, wpływa na poprawę nastroju pacjentów nie tylko w okresie świąt. Są oni sprzymierzeńcami w zmaganiach z chorobą

Lekarze, znawcy ludzkich dusz podkreślają, że stary człowiek czuje się najlepiej w rodzinie wielopokoleniowej. Nie zastępuje jej nawet najlepiej zorganizowane domy „złotej jesieni”. Są one smutną koniecznością, choć wielu starszuchów o nich marzy, a niektórzy nie doczekują upragnionego miejsca.

Tylko w jednej przychodni rejonowej nr 11 w Białymstoku, jest siedem osób z przynajmniej miejscami w domu opieki społecznej. Czekają już ponad rok, aż zwolni się dla nich miejsce.

W tym roku do kierownika przychodni, dr Niny Rutkowskiej dotychczas nie zalaści się nikt z liczego grona podopiecznych w sędziwym wieku. Nie uległ suesistom rejonowych pracowników socjalnych, aby na ten szczególny czas pomyśleli o pobycie w szpitalu. Odmowę argumentował obecnością życiowych sąsiadów, zaprzyjaźnionych siostry PCK; nie jest więc jeszcze tak źle.

— Bywa jednak i tak — mówi dr Nina Rutkowska — że rodzina wyzwa pogotowie ratunkowe do swojego seniora. Liczy na efekt; w karetce będzie wylądował na bardziej chorego, więc może się uda. Bo w domu byłby zawał, i przeskądzał sprószonym gościom. A jak jeszcze zagada po wsiowemu... Z wielu lat przepracowanych w szpitalu pamiętam żartobliwe określenie pielęgniarzek rozpoznających niektórych pacjentów: „Juz jadą gości święteczni!” — mówiw — znak, że wkrótce Wigilia”.

LUCYNA SZEPIEL



URODA PUNK-ROCKERSA

Z jasnej, ruchliwej i gwarnej londyńskiej Knightbridge wchodzi się nagle do zupełnie innego świata: półmrok, cicha, nowoczesna muzyka, czarne ściany i kolumny tworzące coś w rodzaju grot obwieszonych dzianiną dla zwykłego śmiertelnika odzież — przywodzi na myśl scenografię z demonicznego teatru. Obcy może trafić tu tylko przypadkiem, bo z ulicy nie kierują go żadne reklamy lub szyldy. Dla ogromnej rzeszy nastolatków i starszej młodzieży jest to jednak miejsce znane, tu bowiem zaopatrują się Punk-Rockersi.

Poczynając od butów, kurtek, spodni kończąc na kosmetykach, broszach i innych, osobnik tak oryginalnie manifestujący swój światopogląd, nabyć może tu prawie wszystko. Nowych rzeczy jest tu raczej niewiele (buty, ciepłe kurki, specyficzna punkowska biżuteria). W gablotach i na wieszakach pyszną się płaszcz, marynarki, zakłady wyprodukowane gdzieś w latach sześćdziesiątych. Trafić można

również na nowsze rzeczy np. elegancki niegdyś, zielony smoking z żabotem i sztuczne spodnie. W sprzedaży jest pełny asortyment agrałek, klipsów oraz oryginalne lub fałszywe medale i orderki. Ekspedientki, także punki, prezentują najnowszą modę. Szokującą wyglądała jedna z ekspedientek z kompletem agrałek w uszach i nosie. O fryzurach i makijażach też należy wspomnieć, choć te są już prawie „normalne”. Bowiem wygolona do połowy czaszka, kolorowy tatuaż, twarz w barwach wojennych, to widok częsty na londyńskiej ulicy.

Podobne sklepy należą raczej do rzadkości, choć np. całe piętro młodzieżowych ubiorów i dodatków, w znacznie spokojniejszym wydaniu znajduje się także w słynnym Harrodzie.

Czy to jest ładne? Raczej ciekawe. Niekiedy odnosiłam wrażenie, że młode Angielki, mimo że nie należą do najpiękniejszych kobiet, próbują dodatkowo jeszcze się ozdobić. (P)

Świąteczny Guinness

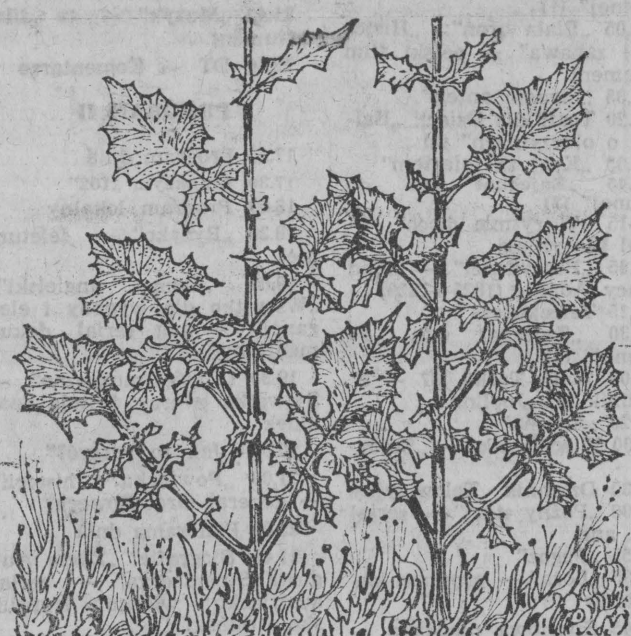
Współczesna książka, która w krótkim czasie osiągnęła najwyższy nakład była słynna „czarna książeczka” zawierająca „Mysli” Mao Tse-Tunga. W latach 1966—1971 sprzedano 800 milionów egzemplarzy tego wydawnictwa, co w końcu nie dziwi, gdy się zważy, że każdy Chińczyk musiał ją mieć obowiązkowo.

Najdłuższą książką biograficzną na świecie jest biografia brytyjskiego sir Winston Churchill, napisana przez jego syna Randolpha (632 strony) i Martina Gilberta (1380 stron).

Zdaniem naukowców najstarszym językiem pisany na świecie mającym swoją kontynuację w historii jest język reprezentujący kulturę Yangshao z Chin. Pierwsze znane przykłady pochodzą sprzed 6 tysięcy lat.

Podobno największą na świecie fortunę dzięki uprawianiu zawodowego sportu zyskał Muhammad Ali, którego majątek oblicza się na ok. 70 mln dolarów. Wydaje się jednak, że już niedługo zostanie on na tej liście zdezonizowany przez czołowych bokserów lub tenisistów, których zarobki stale rosną.

DZIWI ŚWIATA ROŚLIN

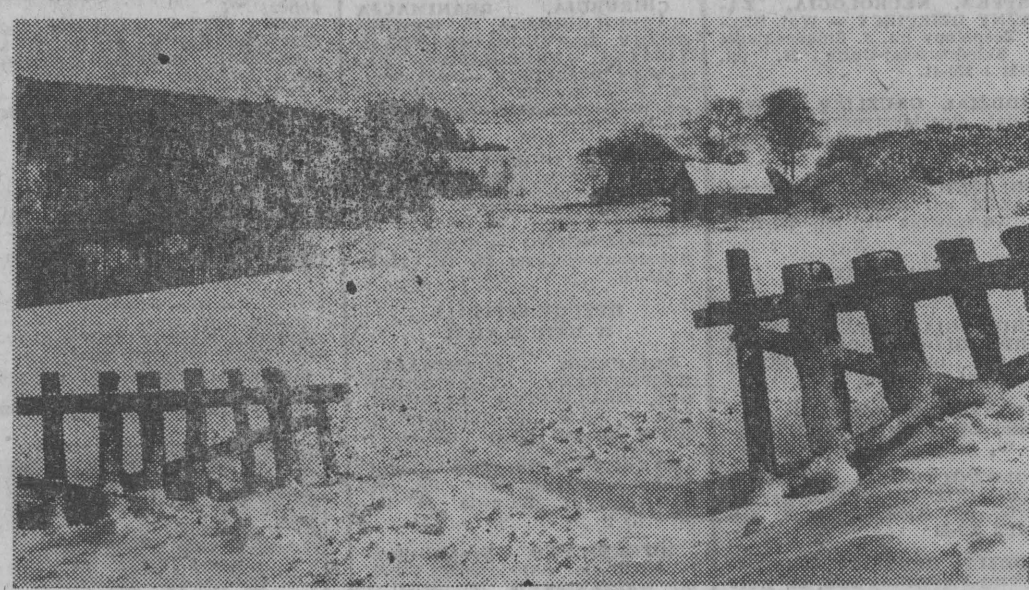


O salacie inaczej

„aby pojawić się na libacji w pełnej gotowości, wypędzamy sokiem salaty niestrawioną zawartość żółdka, a pobudzamy pragnienie pocąc się i rozgrzewając” — tak radził Columella w swoim dziele „De re rustica”. Dzisiejsza nauka potwierdza te spostrzeżenia: salata poprawia trawienie i zapobiega zaparciom. Sok z salaty poleca się chorym na przewlekły nieżyt żółdka, wrzód żółdka i dwunastnicy. Medyczna ludowa naparem z rozdrobnionych liści leczy bezsenność, zwiększoną pobudliwość, a także schorzenia wątroby.

Wszyscy wiemy, że salata jest „zdrowa”; zawiera witaminę A, witaminy B1, B2, E, PP, K, C, znaczną ilość soli żelaza, wapnia, magnezu i potasu. Pod względem zawartości żelaza ustępuje tylko szpinakowi. Może więc na świąteczny stół podamy tak przyrządzoną salate; ugotować dwa jaja na miękko, żółtka ziać do salaterki, dolać kilka łyżek oliwy, trzy łyżki octu winnego i łyżkę cukru — pudru. Ubić to widelcem na pianę i polać umytą w trzech wodach salate.

Na rysunku pródek salaty ogrodowej — salata leśna (*Lactuca muralis*). (Leng.)



WIGILIJNY KALEJDOSKOP



Nim minie północ powiem ci wszystko

Japońscy kolekcjonerzy nie liczą się z kosztami

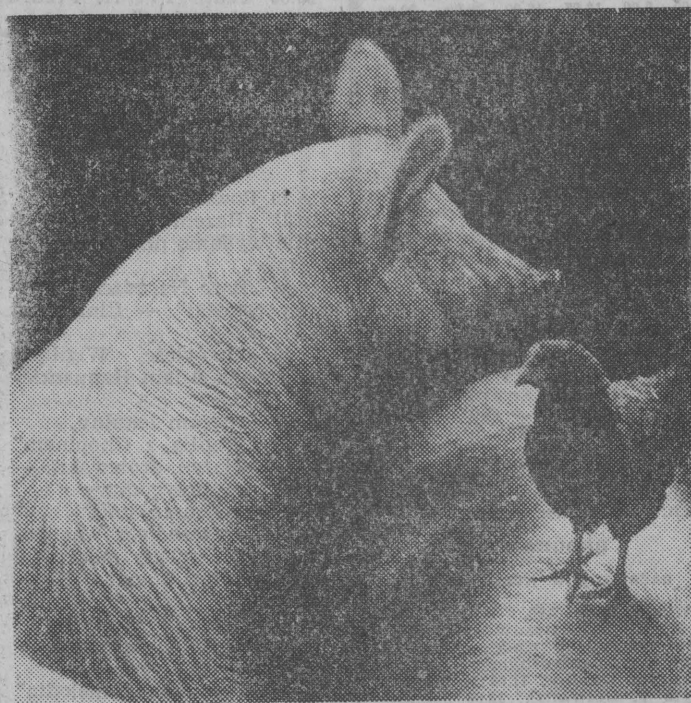
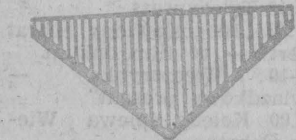
Niedawne nabycie przez Japończyków na aukcji w Paryżu obrazu Modiglianiego „Kobieta w czarnym krawacie” za 6 mln dolarów oraz „Słoneczników” Van Gogha za 36 mln wywołało ostre reakcje w prasie japońskiej oskarżającej rodzimych kolekcjonerów o trwonienie ogromnych sum oraz zbyt częstą obecność na międzynarodowych aukcjach dzieł sztuki. Między styczniem a wrześniem br. wartość obrazów zakupionych przez japońskich nabywców osiągnęła 70 mi-

liardów jenów (585 mln dolarów).

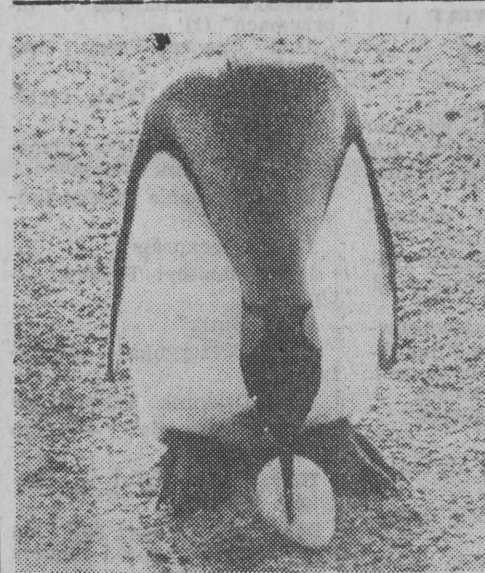
Zdaniem ekspertów, liczni Japończycy kupujący np. dzieła słynnych twórców nie zawsze odróżniają oryginał od fałszyfikatów, czego dowodem jest rozpowszechnienie w tym kraju ok. 100 tys. fałszywych litografii Salvadora Dali.

(P)

One to mają sobie do powiedzenia!



Rys. K. Olender



W Australii tak właśnie chadza się w wigilię



Od'rycie grobowca Eurydyki

Na terenie wykopalisk w Verginie, odkryto grobowiec królowej Eurydyki — matki Filipa II, babki Aleksandra Wielkiego. Grobowca określono na lata 340-320 p.n.e. O jego przynależności do rodziny królewskiej świadczą znajdujące się wewnątrz tronu, zdobione reliefami z wizerunkiem boga Hadesu, Plutona.

Rodowód Londynu

Kiedy powstał Londyn? Archeolodzy od dawna poszukują śladów najstarszego osadnictwa na terenie dzisiejszej stolicy Wielkiej Brytanii. Stare legendy głoszą, że kiedy Rzymianie dotarli nad Tamizę, zastali tam wspaniałe celtyckie miasto. Zostało ono później zniszczone. Tymczasem badania archeologiczne — wsparte źródłami historycznymi — wskazują na coś innego. Legiony wyślano przez Juliusza Cezara budowały utwierdzone obozy na bezludnych urozyciskach nad Tamizą, która stanowiła granicę dwóch terytoriów plemiennych. Dopiero Rzymianie docenili jej ogromne znaczenie żeglowne. Początki Londynu wiążą się z podbojem rzymskim. W połowie I w. n.e. powstała nad Tamizą na terenie dzisiejszego Londynu strażnica wojskowa, w miejscu, gdzie wcześniej okresowo obozowali legioniści Cezara. Później zbudowano tam większy oboz, który dał początek miastu. Rzymianie rzekli w nim do 430 r.n.e. (P)



Skok roku

MODNE DODATKI

Bardzo trudno skompletować w naszych warunkach torebkę, buty i rękawiczki w odpowiednim kolorze, pasujące do całego stroju. Ratuje nas najczęściej kupującą prostą, o ładnym fasonie czarną „naturalną” torebkę, do niej czarne pantofle, potem kaczki. Rękawiczki w tym kolorze też można zdobyć. Ale moda ma także w tej dziedzinie coś do powiedzenia, choć zawsze aktualne pozostaje to, aby kształt i kolor tych dodatków pasowały ściśle do całości stroju.

Tak więc, bardzo modne torebki lakierowane ładnie będą wyglądały do bardziej eleganckiej sukni i takich pantofelek, a kłócić się będą ze sportowym dressem lub kurtką.

Wracając do tak syntetycznych torebek produkowanych w najróżniejszych kolorach i fasonach. Nie jest to zakup najbardziej trwały, ale forba ze skaju ma tę przewagę nad skórzaną, że jest znacznie tańsza i można zamiast jednej, sprawić sobie kilka w po-

trzebnym kolorach. Złazszcza, że obuwie nawet zimowe staje się coraz bardziej kolorowe. Nawet wnosku, że po śniegu też można chodzić w czerwonych, szafirowych czy zielonych kozakach. Dobranie rękawiczek we właściwym kolorze nie będzie już tak trudne, bo jeśli nie kupimy gotowych, to można wydźgać na drutach.

Nowością obecnej zimowej mody są liczne dodatki ze sztucznego i naturalnego futra. I to nie w postaci lisek kołnierzy, ale wstawek i obszyć na butach, torbach i beretach. W bardzo luksusowym wydaniu jest komplet z lakierowanej torebki połączonej z futerkiem karakulowym, takich samych butów obszytych futrem. Nakrycie głowy i rękawiczki także w tym samym zestawie.

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki, litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 75, utworzą hasło, które wystarczy podać jako rozwiązanie całego zadania.

POZIOMO: 1) towarzyszenie komuś, 6) imię kompozytora „Marsza weselnego”, 9) urządzenie telekomunikacyjne, 10) pracownik nadleśnictwa, 12) grządka kwiatowa, 14) świąteczna — z życzeniami, 15) wojskowe polecenie, 17) może być weselny, 20) słup balustrady, 21) pretensja noszona w sercu, 22) to, z czego fora, 24) „famiłina” audycja TVP, 26) poranna, wieczorna lub polarna, 28) „nocne” imię, 29) zasila, 30) ostra choroba zakaźna, 31) zastąpiona hektarem, 34) coś pośredniego między wsią a miasteczkiem, 38) sadzawka po awansie, 39) słotce w płynie, 40) substancja organiczna o silnym zapachu, stosowana w przemyśle perfumeryjnym, 43) składnik benzyny, 46) sztaba umacniająca zamknięcie bramy, drzwi itp., 49) rzymska bogini światła, 51) antypoda leśniska, 52) skrzydłata gromadka, 53) lniaie klaki, 54) sprzęt sanitarny, 55) stado wilków, 56) tłum, gromada.

PIONOWO: 2) w żłobie, 3) kołędnik z miniaturą stajenki betlejemskiej, 4) odmiana sliwy, 5) wystawne przyjęcie, 6) zapal, żarliwość, 7) jeszcze jedna sliwa, 8) tradycyjna potrawa wigilijna, 11) tkanina jak mgiełka, 13) stolica Ghany, 15) lepszy niż nic, 16) nazwa kościoła używana w Polsce przez zwolenników reformacji w XVI w., 18) wśród państw afrykańskich, 19) milowy albo żółwi, 23) „fruwający” statek wodny, 25) nimfa wodna, opiekunka żeglarzy, 27) staropolska pani, 28) kolej podziemna, 31) np. pastorka, 32) dawniejsze porwanie panny, 33) podarunek wigilijny, 35) wiekowy przedmiot, 36) przepływa przez Pizę, 37) sarmacka uraza, 41) drażniący kocia, 42) pieniądź, bogactwo, 44) kojarzy się z Melchionem i Baltazarem, 45) rodzaj sieci rybackiej, 47) augustowska rzeka, 49) śpiew niektórych ptaków, 50) to, do czego należy mówić.

LESZEK

Pomiędzy czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłają trafne rozwiązania, rozdajemy 10 nagród książkowych. Na kopertach prosimy zamaczyć: „Krzyżówka świąteczna”.

